

**GLOGER**

**ZYGMUNT**

DOLINAMI

RZEK

Gloger Zygmunt

**Dolinami rzek**

«Public Domain»

## **Zygmunt G.**

Dolinami rzek / G. Zygmunt — «Public Domain»,

Relacja z podróży Zygmunta Glogera po Niemnie, Wiśle, Bugu i Biebrzy napisana w formie dziennika. Gloger opisuje zarówno piękno przyrody i niesamowite krajobrazy, jak i opowiada o obyczajach ludzi z tamtych stron, na podstawie obserwacji i rozmów z nimi. Autor umiejętnie łączy naukową relację i obserwację z poetyckim przedstawieniem, doskonale oddając realia. Zdaniem Elizy Orzeszkowej, autorki przedmowy do *Dolinami rzek...*, Gloger w codziennych niby krajobrazach potrafi dostrzec niebywałe piękno i wyrazić je słowami. Zygmunt Gloger był polskim historykiem, etnografem, folklorystą i krajoznawcą. Zasłynął przede wszystkim jako autor interesujących rozpraw opartych na intensywnych badaniach dotyczących kultury i obyczajowości ludowej.

## Содержание

Niemen	6
Przedmowa	7
Конец ознакомительного фрагмента.	39

# Zygmunt Gloger

## Dolinami rzek

Dolinami rzek

**Opisy podróży wzdłuż Niemna, Wisły, Bugu i Biebrzy**

I pełnemi piersiami w swojszczyźnie dalekiej  
Napiję się powietrza wód i każdej rzeki.

*Syrokomla*

## Niemen

Niemnie, domowa rzeko moja! gdzie są wody,  
Które niegdyś czerpałem w niemowlęce dłonie,  
Na których potem w dzikie pływałem ustronie,  
Sercu niespokojnemu szukając ochłody?

.....

Niemnie, domowa rzeko, gdzież są tamte zdroje,  
A z nimi tyle szczęścia, nadziei tak wiele?  
Kędy jest miłe latek dziecinnych wesele?

*Adam Mickiewicz*

## Przedmowa

Z Grodna do Kowna. Osiem dni podróży „żeglarskim szlakiem Jagiełły”. Czas tak krótki i szlak niedługi, dostarcza nam przecież mnóstwa wrażeń i tłumy widoków. Jak to? Nie nad Renem, nie w saskiej Szwajcarii, nie w południowej Francji, lecz po tym skromnym naszym Niemnie płynąc, doświadczyć możemy mnóstwa wrażeń i spotykać tłum widoków! A tak, dla wielu, niestety, rzecz ta wyda się niespodziewaną i niemal nieprawdopodobną, jednak jest ona zupełnie prawdziwą.

Podróżując z p. Glogerem, zwiedzamy stare i w dziejach znane miasteczka, przechadzamy się po kwiecistych łąkach i ciemnych, jodłowych borach, po resztkach puszczy odwiecznych, w których niegdyś rozlegały się trąby monarszych polowań, które Sarbiewski<sup>1</sup> już opiewał:

Wre szczerza ochota,  
Od szczekania brytanów rozlega się puszcza,  
Usta spaliła spiekota...

Zaznajamiamy się z nadwodną ludnością orylów<sup>2</sup>, prowadzących po Niemnie baty<sup>3</sup> i wiciny<sup>4</sup>, poznajemy jej odrębne cechy<sup>5</sup>, zarobki, sposób życia, narzędzia, którymi pracują. Tu drogę nam zastępują z wód wyłaniające się ogromne kłody czarnych dębów, tam wody te wrą i szumią na potężnych „rapach”<sup>6</sup>, z których każda nosi oddzielną, często charakterystyczną i malowniczą nazwę, jako to: Most diabelski, Bicze, Biczęta, Gog, Kocioł, Szklanka itd. Bardzo ciekawym jest fakt, o którym w czasie przebywania rap opowiada p. Gloger, że dzieło oczyszczania i przysposobiania do żeglugi Niemna przedsiębrane było już za Zygmunta Augusta przez Mikołaja Tarłę ze Szczekarzowic, chorążego przemyskiego i że ziemianie litewscy tak dobrze rozumieli podówczas ważność rozpoczynającej się roboty (dodajmy też, że tak wysoko pracę cenili), iż zamierzali Tarłę wznieść pomnik kamienny, gdyby jej dokonał. Lecz dokonana ona nie została ani wtedy, ani następnie za Stanisława Augusta, który, zachęcony przez Tyzenhauza, oczyszczenie Niemna z głazów porучzył Komisji Skarbowej, a specjalnie biegłemu w matematyce i mechanice Franciszkowi Narwojszowi, jezuitcie, proboszczowi grodzieńskiemu. Przez trzy lata z pomocą sprowadzonych z Anglii nurków, Narwojsz pracował i pracy całkowicie dopełnić nie zdołał, wskutek czego znowu pomnik dla niego zamierzony i już w nadpis Krasickiego zaopatrzony nigdy nie stanął.

Jedną z najciekawszych stron podróży po Niemnie, stanowią mistrzowsko malowane wnętrza nadbrzeżnych karczem, chat chłopskich, domków mieszczkańskich. W tych siedliskach ludzkich, w najrozmaitszy sposób budowanych, meblowanych i ozdabianych, spotykamy też ludność różną: Rusinów, Litwinów, Tatarów itd. Jednak co do tej różnorodności szczepów, jeden kawał ziemi zamieszkujących, p. Gloger czyni bardzo trafną uwagę, iż nie jest ona tak absolutną, jakby się to zrazu zdawać mogło. „Mieszanie się ludności we wszystkich prowincjach i warstwach odbywało się ciągle, w tysiączny sposób (napady wojenne, osiedlanie jeńców wojennych, porywanie niewiast, kolonizacje, małżeństwa itd.), a na przestrzeni (pomiędzy Dnieprem, Dźwiną i Karpatami) nie ma dziś podobno człowieka, który by w długiej linii zapomnianych wiekami przodków nie otrzymał

---

<sup>1</sup> Sarbiewski, Maciej Kazimierz (1595–1640) – polski poeta barokowy piszący po łacinie, zyskał w swoim czasie światową sławę dzięki nagrodzie w dziedzinie literatury, którą został wyróżniony przez papieża Urbana VIII (był to tzw. laur, a poetę nią odznaczonego nazywano *poeta laureatus*, czyli laureatem); jezuita, kaznodzieja nadworny króla Władysława IV. [przypis edytorski]

<sup>2</sup> oryl – flisak; osoba zajmująca się zawodowo i zarobkowo transportem rzeczonym towarów (tj. *splawem*). [przypis edytorski]

<sup>3</sup> bat (z fr. *bateau*) – drewniana, łódź z żaglem, o płaskim dnie, służąca do przewożenia towarów. [przypis edytorski]

<sup>4</sup> wicina – statek rzeczny do splawiania towarów (jego odpowiednik używany na szlaku wiślanym nosił nazwę *szkut*). [przypis edytorski]

<sup>5</sup> cech – zrzeszenie zawodowe, gromadzące i kształcące wykonawców jakiejś profesji. [przypis edytorski]

<sup>6</sup> rapa – próg rzeczny. [przypis edytorski]

krwi ze wszystkich prowincji i plemion”. Wiekowe mieszanie się plemion nie spowodowało zatarcia się różnic językowych, ani wielu innych cech prowincjonalnych, lecz może im ono ułatwić zgodne pozycie wspólne. W ogóle „podróż po Niemnie” nasuwa uwagę, że umysły podróżników dzielą się na dwa rodzaje: jedne dlatego, aby wzruszenia i ciekawości doświadczyć, a z kolei czytelnikom ich udzielić, potrzebują widoku rzeczy rzadkich, ogromnych, nowością lub wspaniałością swoją uderzających wyobraźnię, porównać zaś je można do wód leniwych, które przez silne tylko uderzenia w ruch wprawionymi być mogą. Umysły zaś drugiego rodzaju w otoczeniu na pozór najzwyczajniejszym i powszednim, wśród zjawisk, które innym wydają się stare i nieme, wynajdują i krzeszą dla myśli i dla fantazji obfite źródła wiedzy i piękności. Są to instrumenty o strunach licznych i tak wysubtelniejszych, że najłżejsze dotknięcie wystarcza, aby śpiewały.

Do tych drugich umysłów, niepotrzebujących cudów ani gromów, aby język życia ludzi i rzeczy rozumieć, należy pan Gloger. Podróż jego posiada ten lot myśli i to serdeczne ciepło, które zdradzają uczzonego, ukazując w nim poetę. Zakończenie zaś jej chętnie i głęboko wyryłabym w umyśle każdego dorastającego młodzieńca.

Eliza Orzeszkowa

Świst pary przerwał mi pasmo mych myśli ze świata przeszłości. Wyjrzałem przez okno wagonu. Był jasny, tchnący świeżością wiosny i chłodem rosy poranek. Tylko tuman gorzkiego dymu lokomotywy, cisnąc się przez otwarte okno, nie wiem dlaczego, przypomniawszy mi z koncertu nad koncertami:

Jak zgrzyt żelaza po szkle: przejął wszystkich dreszczem  
I wesołość pomieszał przecuciem złowieszczem!

Dojeżdżaliśmy do Grodna. Pociąg nasz, niby ptak prujący powietrze, przebiegał po wyniosłym moście nad masztami wicin litewskich. W dole wił się w głębokim jarze płowy Niemen, a kilka secin białych drewnianych domków piętrzyło się na urwistych i stromych wybrzeżach rzeki. Wieżycy siedmiu świątyń wybiegły nad stary gród Erdziwiłła i Witolda, jako wybiega duch idei ku wyżynom i panuje nad poziomym zgiełkiem mrowiska ulicznego. Ale kto chce lubować się pięknymi widokami przyrody i odetchnąć wonią drzew i ziół, niech nie siada na wóz ciągnięty stalowym Pegazem berlińskiej masztami Borsiga i pędzony piekielną siłą wrzątku. Na szczęście byłem u kresu niewolniczej podróży kolejowej, bo pociąg nasz, przebywszy szybko most na Niemnie i ogromny przekop góry miejskiej, stanął przed dworcem grodzieńskim.

We drzwiach ciasnego budynku panował tłok straszliwy, ponieważ dwa przeciwne sobie prądy spieszących się ludzi usiłowały energicznie wywalczyć sobie pierwszeństwo. Sala ogólna wrzała zgiełkiem wielojęzycznym i napełniona była powietrzem, z którego nawet człowiek głuchy i niewidomy mógłby odgadnąć obecność kilku narodowości.

Dniem pierwiej przybył do Grodna towarzysz naszej dalszej podróży, mój krewny Gustaw J. dla najęcia lub kupna łódki do zamierzonej żeglugi po Niemnie. Wiedząc, którym pociągiem przybędę, wysłał na kolej faktora hotelowego (we wszystkich hotelach grodzieńskich usługują Żydkowie), aby mnie zawiadomił, gdzie mam zająć. Usłużny cicerone, choć mnie nigdy nie widział, ale z rysopisu poznał od razu i wymieniwszy moje nazwisko, uważał mnie już za własność hotelową. Despotycznie usadził moją osobę do blaszanej, haniebnie trzęsącej, brzęczącej i zabłoconej, jednokonnej dryndulki, w której siedział już jakiś dość gruby o rudych, sumiastych wąsach jegomość. A że i ja nie należałem nigdy do ludzi wiotkich, więc przy wsiadaniu wyraziłem wątpliwość, czy pomieścimy się obydwaj. Żydek zapewnił, że na taką dorożkę grodzieńską zabiera często nie dwóch, ale pięciu pasażerów. Więc objawszy pozytywną kibić rudego szlachcica, jak Budrys „laszkę synowę”, żeby nie zlecieć do rynsztoku, podążyłem do hotelu na ulicę Brygidzką, gdzie ciągnęła nas dość szybko chuda i wierzgająca, bo smagana ciągle po kościach przez nielitościwego woźnicę wielka szkapa.

Od dworca do hotelu Gwirca podążaliśmy przez przedmieście Horodnicę, gdzie, za czasów Stanisława Augusta, Antoni Tyzenhauz, podskarbi nadworny litewski, założył całe miasteczko fabryczne. Typowe z XVIII wieku murowane domki dla fabrykantów, powznoszone szczytami do ulicy, jak wszystkie domy starych wiosek naszych dotąd przypominają tutaj głośnego w swoim czasie Tyzenhauza.

Krewniaka mego zastałem w wielkim kłopotcie. Przez cały dzień szukał na wybrzeżach Niemna łódki do kupienia lub najęcia i nie znalazł ani na lekarstwo. Były tylko *wiciny* ogromne i *baty* niewiele od nich mniejsze, ale *czajki* ani jednej. Faktor hotelowy przekładał mu wymownie, że do Kowna daleko prędzej i wygodniej, a co najważniejsza, daleko taniej zajędzie koleją niż wodą, a widząc upór podróżnego posądzając go o zbrojenie umyślowe lub o jakiś cel tajemniczy z interesem kontrabandy połączony. Gdy zobaczył i drugiego towarzysza przybyłego z takim samym uporem, utwierdził się w mniemaniu swego ostatecznego podejrzenia. Nie zadaliśmy sobie trudu wyprowadzić z błędu usłużnego faktora i to nam dopomogło, że w godzinę znalazła się już *czajka* do nabycia za rubli 10.

Potrzebowaliśmy wioślara, więc nasz opiekun hotelowy przytrzymał zaraz na ulicy jakiegoś flisa, szukającego w mieście zarobku i przyprowadził do umowy. Flis był to człowiek średniego wzrostu i wieku, ciemny blondyn, barczysty, o przyjemnym wyrazie twarzy, bosy, w połataney siermiędze z szarego samodziału, zażywający często tabakę z brzozonej tabakierki. Nazywał się Wiktor Mazurkiewicz, mówił czysto po polsku, był włościaninem i mieszkańcem z odległej o pół mili od Grodna, na granicy Królestwa położonej, wsi Łosośny. Miał żonę i kilkoro dzieci, a posiadając niewiele gruntu zajmował się oryłką<sup>7</sup> i ciesielką<sup>8</sup>. Wziął nas za litewskich ziemian, prowadzących wiciny ze zbożem lub *płyty* drzewa Niemnem do Królewca, a dowiedziawszy się, że ani wicin, ani drzewa nie posiadamy, zaczął tak samo namawiać nas do podróży koleją. Faktor, który zdawał się już być wtajemniczonym w naukowe cele naszej podróży, tłumaczył teraz oryłowi, że panowie, gdy nie mają co robić, wymyślają sobie podobne wędrówki „dla rozweselenia swoich nudności”. Wiktor z dobroduszością przyjął podobne wyjaśnienie i zażądał za kierowanie naszą łódką cztery złote dziennego wynagrodzenia, na co najchętniej przystaliśmy.

Kupiona czajka okazała się starą, dziurawą i cieknącą, a jak Wiktor z powagą znawcy dowodził, że nie była więcej warta jak „dwa talary”. Trzeba więc było najpierw kupić: konopie, gwoździe, smołę szewską, garnek do jej roztopienia i zająć się naprawą, do której Mazurkiewicz, wyciągnąwszy łódkę na ląd jako „człowiek wodny” wziął się po mistrzowsku.

„Bez zapasu smoły – mówił – ani rusz w taką drogę”. – Więc ognisko nad Niemnem rozniecił, pakułami dziury i szpary w dnie i bokach łódki utykał i smołą gorącą zalewał, a tak był pełen wiary w skuteczność tego środka, że nawet pachwiny między palcami u swoich bosych nóg, żeby skóra w czasie długiej podróży wodnej nie popękała, zawczasu smołą sobie namaścił.

My tymczasem przebrawszy się w szarą płócienną odzież i wielkie słomiane kapelusze, obejrawszy raz jeszcze z troskliwością obecność i legalność naszych paszportów, podobni z nakrycia głowy do flisów, a z sukni do niemieckich owczarzy, poszliśmy na miasto zaopatrzyć się w papier, ołówki, zapałki, chleb, cukier, cytryny, „kaszę krakowską” i rondel do jej gotowania. Wiedzieliśmy bowiem, że w wielu ustroniach nadniemeńskich, na szlaku zamierzonej podróży naszej, żyjących dotąd w sielankowej prostocie epoki Palemona, możemy nie napotkać podobnych przedmiotów zbytku i postępu. Podług starego przysłowia, które przed 300 laty zapisał Rysiński: „jakie odzienie, takie uczczenie”, gościnne kramarki grodzieńskie wciągały nas gwałtem z ulicy za łokcie do swoich ciasnych kramnic, a dopiero po kilku słowach rozmowy, prosiły siedzieć na worku z mąką lub na kulawym, bez deski zydelku z czasów co najmniej saskich lub podskarbiego Tyzenhauza.

<sup>7</sup> *oryłka* – zajęcie polegające na spławianiu towarów rzeką; flisactwo. [przypis edytorski]

<sup>8</sup> *ciesielka* – też: *ciesiołka* a. *ciesielstwo*; nazwa daw. rzemiosła, sztuki ręcznej obróbki drewna i budowy konstrukcji drewnianych, domów, ogrodzeń i mostków. [przypis edytorski]

Objuczeni „pokupkami”<sup>9</sup> powróciliśmy upakować je do walizek podręcznych w hotelu. Wiktor, ukończywszy pod wieczór naprawę czajki, pobiegł do Łosośny pożegnać się z rodziną i przynieść sobie z domu zapas chleba, tabaki i buty na święto.

Ranek w dniu 7 czerwca 1872 r. był taki sam piękny i jasny, jak w dniu poprzednim. Zalecający się wschodnim nieporządkiem hotel Gwirca przy ulicy Brygidzkiej, miał się stać przy pierwszym blasku jutrzeńki greckim *Jolkos*, z którego tym razem podlascy Argonauci mieli na tej samej co wczoraj brzęczącej dryndulce, ciągniętej przez tę samą kościstą szkapę, biczowaną przez tegoż samego woźnicę w sarafanie i pod opieką tego samego Żydka hotelowego wyruszyć przez puste ulice śpiącego jeszcze Grodna do wylepionego smołą Argo, spuszczonego na płowe fale Chronosu przez Mazurkiewicza z Łosośny. Żartowaliśmy sobie, że w dzisiejszej wyprawie Argonautów, ja byłem Jazonem, Gustaw, mój krewny, a starszy wiekiem, nadawał się do roli Herkulesa, który wpływem swoim oddziałł statecznie w zajściach Greków z pięknymi Lemnoskami. Mazurkiewicz był oczywiście owym Argusem, który Argonautom okręt budował i w żegludze towarzyszył, a ze względu na ciężkie czasy dzisiejsze zastępował 47 towarzyszy starożytnej wyprawy. Złotym runem miały dla nas zostać wykopaliska przedwiekowe i notatki ludoznawcze. Zresztą nie żądaliśmy nic więcej, kwitując<sup>10</sup> z legendowej uprzejmości mieszkańek wyspy Lemnos, które wytępiwszy ongi swoich mężów, długi czas podejmowały gościnnie szczęśliwych podróżników starej Grecji.

Dość stromy zjazd od miasta ku Niemnowi, przypomniał mi lata pacholęce, w których o mil kilkanaście stąd mieszkając, słyszałem jednak nieraz opowiadania o smutnych wypadkach na przeprawie pod Grodnem. Mostu bowiem żadnego wówczas jeszcze nie było, tylko prom, do którego się zjeżdżało ze sromotnie spadzistej góry. Dziś nie byliśmy już narażeni na żadne podobne niebezpieczeństwo. Chuda szkapę ledwie ciągnęła z góry brzęcząca dryndę z czworgiem ludzi, ich zapasami podręcznymi, walizkami, motykami do kopania i torbami na wykopaliska.

Zapewne inaczej wyglądać musiał orszak Władysława Jagiełły, gdy stary król ten r. 1418 w towarzystwie nadobnej, młodej małżonki Elżbiety z Pilicy i poważnej rady senatu koronnego, otoczony świetnym dworem z Polaków i Litwinów złożonym, odpływał na statkach Niemnem, z zamku grodzieńskiego do Wielony, za Kowno, na głośny w dziejach zjazd polityczny z Kuchmeisterem, wielkim mistrzem krzyżackim.

Jakże mizerną wydała nam się teraz nasza *czajka*, której losy nasze mieliśmy za chwilę powierzyć. Miała ona długości łokci 7, czyli stóp 14, a szerokości 3 stopy. Każdy jej bok składał się tylko z jednej deski grubej na cal, szerokiej na cali 12, za to na dno użyto w pośrodku półtrzeciej deski takiej. Wiktor nie urządził wcale ławki do siedzenia, bo lada chybnienie byłoby wtedy niebezpieczne. Porobił tylko na dnie łódki bezpieczniejsze tureckie siedzenia, ze słomy i naszych burek podręcznych. Co najgorsza, że *czajka* po naprawie przeciekała prawie tak samo, jak pierwiej. Wiktor jednak, wylewając wodę *korczakiem* (mała drewniana szufelka), zapewniał, że przeciekanie jest rzeczą zwykłą, że wszystkie *czajki* na Niemnie przeciekają, a nasza będzie coraz mniej przeciekała i, że tylko od czasu do czasu będziemy z niej wodę wylewali.

Odjazd Jagiełły z Grodna musiał się wielce różnić od naszego. Monarchę zapewne zegnał tłum ciekawego ludu, kasztelan czy horodniczy zamku grodzieńskiego, rycerstwo, szlachta, rajcowie miasta. Nas nikt, oprócz dwóch Żydów, tych samych, których na wstępie do Grodna spotkałem tj. właściciela dryndulki i sługi hotelowego. Ten ostatni znosił ochoczo nasze tłumoczki i wężełki z dorożki i układał na piasku nadbrzeżnym, ale gdy mu poleciłem, aby pakunki te pownosił na *czajkę* – „Przepraszam panów – odrzekł – ja mam i żonę, i siedmioro dzieci, to co by oni biedni na świecie zrobili, żebym ja się do takiej wody dostał?” To mówiąc, odsunął się z pewnym wstrętem od łódki ku dryndulce i ciekawie przypatrywał z dorożkarzem, jak to z nami będzie, gdy powsiadamy.

<sup>9</sup> *pokupki* (z ros.) – zakupy. [przypis edytorski]

<sup>10</sup> *kwitować* – tu: rezygnować. [przypis edytorski]

I rzeczywiście po wniesieniu rzeczy do czajki, wejściu Gustawa i nareszcie mojej osoby, okręt nasz tak głęboko się zanurzył, że tylko cztery cale pozostawało od poziomu wody do krawędzi bocznych łódki. A jednak, pomyślałem sobie, na tych wątych kilku deskach musimy byстрыm Niemnem żeglować 40 mil wodnej drogi do upamiętnionej przez wielkiego wieszczą doliny „tulipanów i narcyzów” – i pomieścić jeszcze zdobycze spodziewane, wykopaliska, minerały i co Bóg nadarzy znaleźć ciekawego na tej drodze.

„Po rodzonej naszej rzece  
W obce strony nieś mię łodzi!  
Niech cię trzyma Pan w opiece,  
Niech cię burza nie uszkodzi!

Mojej ziemi łąki, gaje!  
Niechaj wami wzrok napieszczę!  
Jak obaczę cudze kraje,  
Bym was kochał więcej jeszcze”.

Gdy inni szukają źródeł Nilu w skwarze zwrotnikowego słońca, gdy odkopują gruzy Troi lub giną wśród lodów podbiegunowych, ja, ku tobie podążam, domowy Niemnie, by wypowiedzieć nurty twoje i ustronia wybrzeży twoich, by skosztować chleba i soli pod strzechą nadniemeńską i pogwarzyć z rzeszą sió<sup>11</sup> twoich. Wiem, że z dalekich i niebezpiecznych pielgrzymek odnieść można korzyści, że świat cały ludzi partych szlachetną żądzą wiedzy nagradza sławą powszechną. Ale ja sławy nie szukam, a korzyści pragnę przede wszystkim swojskich dla ziomków moich.

Na końcu łódki, gdzie bywa u większych statków rudel, zajął miejsce nasz Wiktor, jako fizyczny motor całej wyprawy, sternik i wiosłarż zarazem. Ja, jako główny balast zająłem środek, tj. najszersze miejsce łódki. W przednim nosie obrał sobie stałe siedlisko Gustaw. Resztę wolnej przestrzeni w czajce zajęły dwa tłumoczki, puzdro ze spiżarnią, teki, motyka i zapasowe wiosło. Wiktor mając odbić od lądu, zdjął czapkę i przeżegnał się pobożnie. My uczyniliśmy to samo, co na naszym flisie zrobiło wrażenie dobrej nadziei i otuchy w pomyślność podróży.

Była godzina czwarta rano i Grodno marzyło jeszcze snem głębokim, gdy pierwsza z jego murów, a prawdopodobnie i pierwsza w ogóle po Niemnie wyprawa archeologiczno-etnograficzna opuszczała miasto. Już czajka nasza o fale Niemna pluska, bystry nurt miejscami lejkowato wirujący na powierzchni wody, unosi ją w dół rzeki, ku zachodowi, a wiosło sternika już nie gruntuje ziemi.

Cóż za wspaniały widok poza nami! W łożysku głębokiej doliny ocknął się już ze snu szmaragdowy Niemen, ale dymi jeszcze oparami mgły porannej. Nad nim zawisł piękny most żelazny kolei petersbursko-warszawskiej, wsparty na kilku szarych, granitowych filarach, tak wyniosłych, że najwyższe maszty wicin, przepływając, nie potrzebują schylać swoich wierzchołków w jego czeluściach. W złotej powodzi rannego słońca kąpały się strome wybrzeża Niemna i urwiska góry zamkowej z granitowymi szczątkami murów Witoldowych. Z dala dolatywały wśród ciszy porannej odbite po wodzie wołania orylów i z niw zamiejskich śpiew skowronków.

Widok Grodna nasunął w myślach moich cały szereg wspomnień dziejowych. Wierc najpierw chwile sejmu w r. 1793 i abdykacji Stanisława Augusta, która tu nastąpiła we dwa lata później. Poza tymi obrazami, wstecz, widnieje kilkonastoletnia epoka świetności Grodna za Antoniego Tyzenhauza, zakończona smutnym podskarbiego upadkiem. Starostwo grodzieńskie było na Litwie jedną z czterech niezmiernie rozległych „ekonomii”, stanowiących dobra stołowe królewskie. Podskarbi nadworny litewski, czyli minister skarbu litewskiego. Tyzenhauz, zarządzający tymi

---

<sup>11</sup> *sioło* – wieś. [przypis edytorski]

dobrami, zapragnął uczynić z nich ognisko przemysłu krajowego, a przede wszystkim ogniskiem takim chciał mieć Grodno.

Trudno jest dać wiarę, żeby w przeciągu niespełna lat 15 z lichego pożydowskiego miasta, bez żadnego naukowego i przemysłowego ruchu, można było utworzyć siedzibę oświaty i przemysłu, zabudować gmachami, zaludnić rękodzielnikami. Podskarbi wysłała do Anglii Downarowicza, żeby zbadał cały postęp agronomiczny w tym kraju. Dla przygotowania dobrych rachmistrzów zakłada szkołę buchalterską pod kierunkiem najbieglejszego w tej sprawie Baranowicza. Ponieważ Litwa nie miała weterynarzy, Tyzenhauz sprowadza z Montpellier biegłego w leczeniu ludzi i zwierząt profesora Zyliberta, któremu porucza założenie szkoły medyko-chirurgicznej i weterynarskiej. W szkole tej uczono weterynarii, między innymi sześciu chłopców z włości królewskich na koszcie skarbowym. Szkoła mierników, czyli geometrów, zostawała pod dyrekcją Markiewicza; budowniczych pod kierunkiem Włocha Sacco. Tyzenhauz zakłada na Horodnicy za miastem fabrykę: bielizny stołowej, sukna, muślinów, wstążek, atlasu, aksamitu, pasów litych, powozów. Kopie kanały, osusza bagna, buduje drogi, mosty, domy zajezdne, uszlawnia rzeki, zakłada huty, garbarnię, olejarnię, młyny, piwowarnię, składy towarów, gisernię, dom handlowy, ogród botaniczny, bibliotekę, orkiestrę itd. Gdy środki pieniężne na tak rozliczne i różnorodne przedsięwzięcia okazały się niedostateczne, majstrzy, sprowadzani z zagranicy, nie wszyscy dobrzy, kraj do podobnie gwałtownego postępu nieprzygotowany, a sam podskarbi jako pan polski zbyt samowładny i niefachowy, wielkie jego dzieło musiało runąć. Tyzenhauz umarł też prawie w niedostatku wśród Warszawy, pochowany w dobrach swoich Żołudku na Litwie. Podobno nie ma dotąd nigdzie tablicy grobowej, choć zostawił po sobie magnatom polskim nieocenioną pamiątkę i przykład, aby praca dla społeczeństwa była bardzo rozważna i więcej na zimno obliczona niż gorączkowa, gwałtowna.

I biegłem znowu myślą w dalszą przeszłość, kiedy król Batory przemieszkował w pałacu trybunalskim i do wspaniałego kościoła jezuitów (dziś parafialnego) chadzał galerią, która się ponad ulicą wznosiła. W Grodnie też ciężko zachorował, a nielitościwej śmierci anioł tu zamknął mu powieki i chmurą żałoby zasłonił słońce ówczesnych nadziei. Na tle żałobnych wspomnień myśl moja cofnęła się znowu o wiek prawie cały nad łożo śmiertelne Kazimierza Jagiellończyka, który na zamku grodzieńskim r. 1492 ostatnich dni życia swego dokonał.

Na 250 lat przedtem pierwsza na ziemiach tutejszej Rusi nawała dziczy mongolskiej zrównała z ziemią gród nadniemeński kniaziów Hlebowiczów. Grodno było od wieków miejscem obronnym, skoro już pod r. 1128 znajdujemy w latopisach Rusi powyższą jego nazwę, od grodu, czyli warowni zamkowej biorącą swój początek. Takim to grodom, którymi były zwykle strome góry nadrzeczne nadające się do łatwiejszego obwarowania ręką ludzką, winny swój początek wszystkie miasta i stolice dawnej Słowiańszczyzny i Litwy. Przy zamku i pod jego ochroną osiadali pierwsi rzemieślnicy, rodziny rycerzy, powstawały przy trakcie wodnym targowice. Jednym słowem zawiązywało się miasto, na które przechodziła nazwa grodu, a w czasach późniejszych i obwarowanie całego obrębu przed napaściami nieprzyjaciół.

W mieście stawiano świątynie. Latopisowicze Rusi zanotowali, że za kniaziów Hlebowiczów r. 1183 pogorzało Grodno od pioruna wraz z „cerkwiemi murowanymi”. Oczywiście w cerkwiach pogorzały dachy i wiązania drewniane, ale nie ściany murowane. Istniejąca dotąd na krańcu zachodnim miasta w miejscowości zwanej Kołoża, pod wezwaniem świętych: Borysa i Hleba, nosząca wybitny charakter budownictwa z pierwszych wieków chrześcijaństwa na Rusi, a będąca najstarszym zabytkiem budownictwa na Litwie, jest właśnie jedną i jedyną z tych, o których latopis *hypacowski* pod rokiem 1183 wspomina.

Gdy wódz Tatarów, podobno Kajdan, zburzył Grodno tj. zamek drewniany i miasto, gdy Jerzy, syn Hleba, poległ w obronie Grodna, a spustoszona i prawie bezludna dzielnica kraju stała otworem dla każdego, wówczas książę litewski Erdziwił zajął grodzieńszczyznę, która stała się odtąd dzielnicą bałwochwalczej Litwy. Kusiała się wprawdzie Ruś o odebranie Grodna podczas wspólnej na Jadźwingów wyprawy Daniela, księcia halickiego, z Bolesławem Wstydlwym – ale nadaremnie. Od

r. 1284 Grodno litewskie stało się celem częstych napaści zakonu krzyżackiego. Czy za panowania pogan w Grodnie, które trwało do chrztu Jagiełły i Witolda, tj. przez półtora wieku, cerkiew na Kołoży służyła do modłów chrześcijanom miejscowym, czy władcom pogańskim, na to nie mamy żadnych świadectw. To jednak pewna, że poganie uszanowali świątynię chrześcijańską, skoro od pierwotnych do naszych czasów przetrwała. Prawdopodobnie nie wnosili nawet do niej swoich bogów, bo obyczajem litewskim mieli poświęcone dla nich gaje, a nie bożnice, i chrześcijanom pozostawili cerkiew w ich rękę, kult bowiem wiary pogan dążył do utrzymania własnych wierzeń, ale nie narzucał ich nikomu.

Gdy za Jagiełły powróciło znowu panowanie chrześcijaństwa, a wielki książę Witold postawił w Grodnie okazałą farę gotycką dla katolików, urosło z czasem podanie ludu, że Kołoża, jako sięgająca doby pogańskiej, była świątynią pogan litewskich, a garnki w jej ścianach wewnętrznych, dla akustyki wmurowane, że były popielnicami, przeznaczonymi na prochy zmarłych.

Dopłynąwszy podnóża Kołoży, przybiliśmy do prawego brzegu Niemna i wysiadłszy poczęliśmy wdrapywać się na jej strome urwisko, gdy nasz Wiktor wylewał tymczasem wodę naciekającą do czajki. Pragnąłem dopełnić rysunku starej budowy, naszkicowanego jeszcze w r. 1867, gdym po raz pierwszy był w Grodnie. Rajzbretu<sup>12</sup>, ani stolika nie byto, więc zastąpiła go teczka podróżna, położona na plecach siedzącego „w kuczki” Gustawa, który podjął się chętnie tej usługi artystycznej i spełniał ją o tyle idealnie, o ile nie kichał, mając dość silny katar. Ja rysowałem siedząc za nim także „w kuczki”, a czynność nasza w tych pozach dość długa i nieruchoma zwabiła gromadkę kobiet z przedmieścia.

Kołoża przedstawiała już wówczas ruinę. Do r. 1839 służyła zakonowi ojców bazylianów i posiadała słynący cudami obraz Bogarodzicy. W lat kilkanaście później, skutkiem powolnego, ale ciągłego osypywania się stromych stoków wybrzeża w koryto Niemna, południowa ściana cerkiewki i połowa frontowego szczytu po drzwi wielkie, runęły ku rzece. Odtąd ruiny stały bez dachu przez ćwierć wieku, aż do czasu mojej podróży tj. r. 1872, w którym miano przystąpić do odbudowania.

Świątynia w stylu bizantyńskim składała się z trzech naw, z których każda półkolisto w szczycie zaołtarzowym, na wschód zwróconym, zakończoną była. W półkolistym zakończeniu nawy środkowej, najszerszej i najdalej w szczycie wysuniętej, mieścił się wielki ołtarz. W połowie świątyni znajdowały się dwa okrągłe filary pomiędzy nawą środkową a bocznymi. Cała długość budowy łącznic ze ścianami wynosiła stóp polskich 73, a szerokość 44. W szczycie ołtarzowym, na połowie wysokości, widoczne były zewnątrz piękne gzymsy łukowe dziewięciu wielkich okien zamurowanych później, po trzy w każdej nawie. W miejsce tych okien pierwotnych zrobiono później po dwa okna w ścianach bocznych, o nader płaskich łukach i wysoko umieszczone. Jedno też znajdowało się we froncie świątyni nad głównymi drzwiami. Drzwi pierwotnie było troje: główne, wprost ołtarza i dwoje bocznych w połowie budynku, wszystkie jednakowej wielkości. Wewnątrz grubych ścian ukryte były w kilku miejscach wąskie schody i korytarzyki tajemne. Cegły użyte do budowy miały zaledwie grubość dwucalową. Ale za to między ich warstwami kładziono na cal grubo wapna, do którego sypano niezmiernie mało piasku. Widocznie robota była może najpierwszym murem w kraju, a murarze mało mieli doświadczenia, jakie wapno jest najmocniejsze.

W ścianach wewnętrznych uderzają swoją oryginalnością wielkie garnki wmurowane poziomo otworami do środka, dla akustyki. Były to tak zwane *hołośniki*, jakie znajdowały się także w ścianach cerkwi św. Bazylego w Owruczu, wzniesionej około roku 1000 przez Włodzimierza I. Miały one nadawać dziwny rezonans śpiewowi, który w obrządku wschodnim tak wielką odgrywa rolę. Niegdyś każdy ze zwiedzających świątynię, jeżeli był ciekawym tego rezonansu, mógł kilkakrotnie zagrznieć głosem, za co składał pewną opłatę zwaną *hukowoje*. W ścianach świątyni kołożańskiej znajdowała się takich hołośników około setka pierwotnie. Dziś wróble gnieźdzą się rozkosznie w tych garnkach, a chłopcy wiejscy, przyniósłszy drabinę, wybierali przy nas piskłeta.

<sup>12</sup> *rajzbret* (z niem.) – deska kreślarska, do której przymocowywano papier; rysownica. [przypis edytorski]

Ściany zewnętrzne, nietynkowane, oryginalny przedstawiały widok, ponieważ ozdobione były krzyżami z pewnego rodzaju kafli, pokrytych polewą pięknej barwy zielonej, wiśniowej, cytrynowej itd. Krzyżów takich, o ile wnosić można było ze ścian pozostałych, znajdować się mogło na całej świątyni najmniej sto kilkanaście. Oprócz nich, zwłaszcza od dołu, wmurowano w ściany mnóstwo polnych głazów z gładką powierzchnią na zewnątrz.

Szkice Kołoży ukończyłem – Gustaw wyprostował się i odetchnął. Ze stosu gruzów wybrał kilka typów cegieł starożytnych, powróciliśmy do łódki, która pod ciężarem pierwszych nabytków naszych zdawała się zanurzać głębiej w wodę. „Zygmuncie – rzekł, żartując, mój towarzysz – jeżeli na samym wstępie tyle już mamy zdobyczy, to czy nie lepiej byłoby wrócić się do Grodna póki czas i nająć pod starożytności *wicinę* albo *bat*, ot taki jak ten, który widzisz?” Tu ukazał statek nieco mniejszy od wiciny, z ładunkiem kilkunastu sąni kubicznych opałowej sośniny, ciągnięty w górę rzeki za długą linę przez dziesięciu pieszych ludzi. Na ten temat żartowaliśmy wesoło.

Bystry nurt unosi znowu naszą łódkę. W pobliżu Kołoży bałwani się w pewnym punkcie i rozbija swą pierś o głaz podwodny, dzieląc się na dwie bujne strugi fal niby dwa olbrzymie wąsy, ostrzegając z dala sterników, aby to miejsce niebezpieczne omijali. Mazurkiewicz, który znał Niemen wybornie, bo już 15 razy jako oryl przebywał drogę od Grodna do Kowna, objaśniał nas, że w mowie flisów i ludu tutejszego każdy wielki kamień podwodny zowie się *rapą*, nie *rafą*, jak na Wiśle, i każdy ma nazwę oddzielną. Ta np. rapa w pobliżu Kołoży nosi nazwę *Horodnianki*.

Teraz opuszczamy już Grodno na dobre, trawestując pożegnanie Child Herolda:

„Bywaj mi zdrowy, grodzie sędziwy!  
Już w mglistej niktujesz powłóce,  
Już Niemen szepce głębin swych dziwy,  
Litewski słowik świergoce”.

Poniżej Grodna brzegi Niemna są bezdrzewne i obniżają się. Pierwszy las, który napotykamy na lewym brzegu, jest sosnowy, a majątek, do którego należy, nazywa się Augustówek. Głęboka cisza w naturze wróży upał. Na niebie żadnej chmurki, na ziemi najłżejszego wietrzyku, na wodzie żadnej fali. Moc skowronków śpiewa pod jasnym niebem, jakby radując się z wiosennej zieloności i pogody. W lesie kowała kukułka, a kukanie jej rozbrzmiewało się daleko po rosie doliny niemnowej. Wiktor opowiadał, że każdy człek na wiosnę chowa tu w kieszeni kilka groszy na „*zięziulkę*” (kukułkę), aby miał czym brzęknąć, gdy pierwszy raz kukanie posłyszysz. Przypomniał mi tym białoruskie przysłowie „Schawaj try hroszy na ziaziulku”.

Kukułka nasza jest ptakiem najbardziej tajemniczej, demonicznej postaci. W pieśniach ukraińskich jest ona symbolem sieroctwa i wdowieństwa. Nie ma pary, bo była kiedyś kobietą i zabiła swego męża – dziś jest wróżką. Pokutuje w niej zaklęta dusza kniahini Zazuli, a lud mówi: „Zazula kuka, bo wybawienia szuka”. Coś mistycznego w pojęciach ludu leży w tym, że kukułka sama gniazda nie ściele, ale innym ptaszynom jaja swe podkłada. Zajęta jest sprawami swego zaklęcia, nie odbudowaniem gniazda i rodu. Więc podlatuje pod siedziby ludzkie do gajów i „wiśniowych sadów” i w czynieniu ciągłych wróżb szuka wybawienia. Tak się niepokoi sobą i ludźmi, że nawet w nocy przez sen kuka, a zawsze wróży dziewczętom, gdyż sama była dziewczicą. Przepowiada im lata panieństwa i zamążpójścia. Jeżeli raz pierwszy zakuka dziewczynie, niosącej próżne konewki do wody, to próżno przejdzie jej rok, jeżeli zaś niosącej pełne, to spełni się, za czym goni myślą i sercem. Gdy głodnemu zakuka na wiosnę, to będzie on głodny rok cały. Przepowiada lata doli i niedoli, starym – lata śmierci. W pieśni wielkopolskiej donosi dziewczynie o śmierci jej lubego:

„I usiadła na drzewinie,  
Zakukała na kalinie,  
Główkę w listek przytuliła.

Tak do matki przemówiła:  
– Już nie siedzie Jaś za stołem,  
Płacze Kasia za sokołem”.

W innej starej pieśni dziewczica trawiona tęsknotą przemienia się w kukułkę, by ulecieć do swojej rodziny lub kochanka. Przy poległym młodym rycerzu siadają trzy kukułki: u głowy, serca i nóg – matka u głowy, kochanka u serca, siostra u nóg. U matki płynie łez rzeka, u siostry sączy się struga, a gdzie kochanka, tam murawa sucha. Kochanka płakała dzień, siostra rok, matka... całe życie. Podobną pieśń śpiewa Mazur nad Wisłą, Małorus nad Dnieprem i Litwin nad Niemnem, każdy w swoim dialekcie.

O pół mili od Grodna wpada z lewego brzegu do Niemna rzeczka Łosośna, znana z poławiających się w niej pstrągów. A że pstrąg jest gatunkiem łososia, więc i nazwa rzeki stąd powstała. Łosośna, którą nasz Wiktor nazywał „Łososianką”, stanowi w tym miejscu granicę Królestwa z Cesarstwem. Nad rzeczką leży wieś Łosośna, rodzinna naszego poczciwego Mazurkiewicza. Bystra woda tej rzeczki poruszała niegdyś założone tutaj przez Tyzenhauza folusze<sup>13</sup>, magle<sup>14</sup> i blechy<sup>15</sup> do tkalni horodnickich należące, a z podmytych wybrzeży wymułała szczęki z zębami przedhistorycznych mamutów i olbrzymie pnie drzew przedwiekowych. Wiktor twierdził, że to były kości „wielkoludów”, a kilka naiwnych rysów, jakimi określił postacie podaniowych olbrzymów, przypomniły mi homerowego Polifema i cały ustęp o Cyklopach z dziewiątej pieśni *Odysei*. O Łososiance mówił jeszcze, że na przestrzeni jednej mili obraca aż pięć młynów wodnych.

Od ujścia tej rzeczki, Niemen zmienia swój kierunek z zachodniego na północny i stanowi odtąd na przestrzeni mil kilkudziesięciu granicę pomiędzy gubernią suwalską a grodzieńską, wileńską i kowieńską. Mijamy na lewym brzegu wąwóz zwany „wileńskim rowem” i drugą od Grodna rapę Łososiankę. Nad nami pławi się w powietrzu upatrujący łupu wielki, drapieżny, o ciemnych piórach jastrząb, zwany przez lud zarówno nad Niemnem jak i Narwią *szulakiem*. Naprzeciw południowego krańca pięknie położonej wśród gaju wioseczki, zwanej Pyszki, napotkałem na prawym brzegu pierwsze w naszej podróży ślady przedhistorycznego pobytu człowieka w postaci znalezionych na lekkiej roli (między wybrzeżem a lasem) typowych okrzosków krzemiennych. Okrzoski takie odpadały przy obrabianiu krzemiennych narzędzi w czasach, kiedy jeszcze kruszców albo wcale nie znano, albo należały one do zamorskich rzadkości. Okrzoski płaskie długie, z ostrymi brzegami służyły zapewne za noże pierwotnym mieszkańcom nadniemeńskim i jeden z takich przedstawiamy tu w rysunku<sup>16</sup>. Z innych bądź robiono rozmaite drobne narzędzia, lub ostrza strzał, bądź odrzucano jako proste wióry i odpadki. Obok tych wszystkich szczątków, zmieszanych z piaskiem, na powierzchni znalazłem w skibach oranej roli czerepy prażkowanych grubych naczyń, wypalanych z gliny mieszanej z tłuczonym granitem, co w mniemaniu starożytnych dodawało mocy naczyń.

Przez tysiące lat ludzie deptali po tych szczątkach prawiekowych, nie domyślając się, że były zabytkami po najdawniejszych mieszkańcach tej ziemi. I dopiero dziwnym zbiegiem okoliczności wypadło mnie pierwszemu napotkać i wyszukać na ziemiach litewskich tak zwane „stacje krzemienne”, czyli siedliska pierwotnych mieszkańców z czasów powszechnego w starożytności użytku krzemienia.

Poza Pyszkami widać zwężony nagle Niemen, który szumi i bałwani się w tym miejscu na podwodnych głazach granitowych. Jest to niebezpieczna dla statków i tratw rapa zwana *Hrymiaczką*, czyli grzmiącą. Drobna nasza czajka, jak łupina orzecha puszczona na bystry potok, unosiła szybko trzech ludzi, z których wioślarz bacznie kierował małym statkiem, żeby prąd nie rozbił go w drzazgi

---

<sup>13</sup> *folusz* – zakład (warsztat) specjalnego filcowania tkanin wełnianych. [przypis edytorski]

<sup>14</sup> *magiel* – zakład (warsztat) krochmalenia i prasowania tkanin (szczególnie lnianych). [przypis edytorski]

<sup>15</sup> *blecha* – zakład (warsztat) bielienia tkanin. [przypis edytorski]

<sup>16</sup> *przedstawiamy tu w rysunku* – nie uwzględniono rycin z wydania źródłowego. [przypis edytorski]

na kamieniach, drugi zdawał się badać, czy rzeczywiście grozi jakie niebezpieczeństwo, a trzeci zatopiony był cały w pakowaniu do pudełek krzemików i czerep, zawijaniu osobliwszych okazów w papier i kładzeniu objaśniających napisów.

W pobliżu rapy Hrymiaczki znajduje się nad Niemnem wąwóz tego samego nazwiska. Ta łączność nazwy zwróciła moją uwagę na związek zupełnie inny, bo czysto fizycznej natury pomiędzy rapami i wąwozami. Oto w czasie potopowych kataklizmów i późniejszych wielkich powodzi, potężna siła wody wytoczyła z większych wąwozów głazy do koryta Niemna, tworząc z nich te podwodne barykady, które lud nazwał rapami. I w górach wąwozy zasute są skałami przez potoki. Wiktor objaśniał nas, że przy każdej rapie znajdują się niby wrota, kędy ścieśniona rzeka najgłębszy nurt posiada i statki przepływają. Nurt ten w mowie żeglarzy zowie się drogą, a od umiejętności sternika i doświadczenia oryłów zależy los wicin, batów i traw. Najgroźniejsze rapy zapowiadał nam pod Rumszyszkami i Dworaliszkami przed Kownem, gdzie szum Niemna słychać dalej niż głos człowieka. Mniej groźny kamień w rzece lub podwodna wysepka z kamieni i żwiru zowie się *sołą* i *sołką*, niekiedy *usem*, czyli wąsem, od dwóch prądów rozchodzących się od *soły*, z biegiem wody niby dwa długie wąsy. Zdarzają się rozbicia statków i o *sołę*, jeżeli sternik niebaczny. Jeżeli kamień podwodny jest wielki lub sterczy nad powierzchnią, zwie się *wieliczem*. Miejsce zaś przy brzegu, poniżej głazów i mielizn, gdzie woda zatrzymana wiruje, zowie się *odwojem*.

Poniżej Hrymiaczki minęliśmy na prawym brzegu niewielki wąwóz zwany „żydowskim rowkiem”, którego semickość przypomniła mi górę Jarmułkę pod Szczawnicą. Na lewym brzegu inny parów zowie się Rapin. Dalej przybyliśmy do kopalni wapna, zwanej Miołą lub Mielawcem (od miału kredowego). Jest to wzgórze wapienne, dawniejszej niż dolina rzeczna formacji, w której Niemen wydrążył sobie na przełaj koryto. Pokłady wapna wznoszą się na kilkanaście sążni nad poziom wody na brzegu prawym i tu właśnie w stoku góry znajduje się kopalnia, jako wielka kotlina śnieżnej białości, ożywiona pracą kilkudziesięciu ludzi, oprawiona w malownicze ramy zieloności lasu i zarośli. Robotnicy, jedni łamali białą, wilgotną opokę, inni taczowali śnieżne bryły na brzeg Niemna, gdzie układali je w szychty, z których po wyschnięciu ładuje się wapno na statki lub wozy. Właśnie przy kopalni zastaliśmy bat naładowany kilkuset korcami tego wapna, mający płynąć z Niemna na „kanał augustowski” do Augustowa. Żydek właściciel batu i wapna zagadnięty, czy nie ma do zbycia kawałka deski, potrzebnej nam do położenia na przesiąkającym dnie łódki, zapytał nas, czy nie mamy śledzi do sprzedania? Z kłopotu wybawił nas Wiktor, który na piątek i sobotę nakupił sobie śledzi w Grodnie. Za śledzie więc dostaliśmy kawał deski, co przypominało handel zamienny w średnich wiekach.

Do pierwotnych murów cerkiewki na Kołozy zdaje się, że użytem już być musiało chude wapno tutejsze. W pokładach kopalni znalazłem mnóstwo oryginalnego kształtu gałęzistych krzemieni, a także paleontologiczne okazy mięczaka *Ananhiles gibbus*, wielkości gęsiego jaja. Krzemienie tutejsze, które łatwo odróżnić można od innych, znajdowałem później w korycie Niemna o kilka mil w dole rzeki.

Obfitość krzemienia w pokładach wapna dała mi pobudkę do szukania w pobliżu siedliska ludzkiego z czasów starożytnego użytku krzemienia. Jakoż o kilkaset kroków od kotliny wapiennej znalazłem na przeciwległym brzegu to, czego pragnąłem. Na piaszczystych nierównościach wywiewały teraz wiatry okrzoski krzemienne z czasów starożytnych. Były więc tu znowu i kawałki narzędzi, nożyków i (najliczniejsze) wiórki krzemienne, oraz szczątki glinianych, typowych naczyń. Z przedmiotów powyższych przedstawiam tutaj dwa<sup>17</sup> tak zw. skrobacze (*racloir*) o tępych, łukowatych ostrzach i jeden tak zwany rdzeń, czyli *nukleus*, tj. środek bryłki krzemienia, z którego boków odłupywano podłużne blaszkowate szczadry do krajania lub innych użytków służące. Znajdowanie takich rdzeni i okrzosków z krzemienia o wydatnych cechach miejscowych, stanowiło uderzający

<sup>17</sup> Z przedmiotów powyższych przedstawiam tutaj dwa (...) – nie uwzględniono rycin z wydania źródłowego. [przypis edytorski]

dowód, że były to wyroby tutejsze, gdzie tylko bowiem człowiek starożytny się zatrzymał, tam wyszukiwał sobie na miejscu krzemień i robił z niego potrzebne narzędzia.

Słońce paliło żarem na piaszczystych wybrzeżach, ale na odpoczynek i posiłek południowy niewiele chwil mogliśmy poświęcić, zamierzywszy bowiem w ciągu dnia ośmiu dopełnić 40-milowej wędrówki (tyle mniej więcej długości ma kręte koryto Niemna od Grodna do Kowna), trzeba było posuwać się przeciętnie po 5 mil dziennie. Nie było więc czasu w ciągu dnia na kąpanie się, na drzemki i dłuższe odpoczynki. Na szczęście, od szkolnej ławy przywykłem obliczać się z każdą godziną, aby nie stracić jej na marne, więc podobny tryb życia w podróży nie przynosił mi przykrości. Gdzie wybrzeża były ciekawsze i piękniejsze, tam szliśmy pieszo lub przewoziliśmy się łódką z brzegu na brzeg. Płynąc Niemnem, robiłem notatki, pomimo że na wodzie, gdzie promienie słoneczne odbijają się od gładkiego jej zwierciadła, upał był o wiele dokuczliwszym. Kiedy brodziliśmy po rozpalonym piasku, szukając zabytków krzemiennych, Wiktor wylewał wodę z czajki lub drzemał, budząc się od czasu do czasu dla zażycia tabaki, a gdyśmy powracali obciążeni kamiennym łupem, zapewniał sumiennie, że pierwszy raz w życiu widzi takich panów, którzy zbierają po piasku „kamuszki i skorupki”.

Za Miołą minęliśmy dwie rapy, z których niżej położona ma być dla wicin wielce niebezpieczna. Dalej w pobliżu wsi Puszkarów wpada z lewego brzegu strumień Puszkarka. Jar jej szeroki uwydatnia przestwór czasu i potęgę działania wód na łądy, co razem złożyło się na wyżłobienie takich koryt. Rapa przy wsi Solnej Bali nosi także nazwę Puszkarki. W Bali istniał dawniej skarbowy skład soli wielkiej i stąd dodano nazwę Solnej. Skąd się tu wzięła nazwa biblijnej Bali (inaczej zwanej Segorą), pochłoniętej po przejściu Lota – jak mówi Pismo Święte – przez ogień i ziemię, tego nie wiem.

Niżej Puszkarki wpada do Niemna z lewego brzegu rzeczka Łabna, powyżej zaś na brzegu prawym ciągnie się bór sosnowy, podobno do dóbr Stanisławowo (ks. Lubeckich) należący. Za tym borem rozpościera się „okolica” zaściankowej szlachty, zwana Grądzicze czy Grądzickie, gniazdo zapewne Grądzkich.

Pod Kownianami napotkaliśmy pierwszą na Niemnie wysepkę. Jazon grecki, gdy wylądował na wyspie Lemnos, tak uprzejmie był przyjętym przez piękne lemnoski, że gościł u nich przez rok cały, a pamięć tej gościny przechowała się aż do naszych czasów. Ale po pustym ostrowie litewskim chodziła tylko długodzioba czapla i ta przed nami uciekła. Krzaki rosnącego na wyspie berberysu przypominały mi lata dziecińne, gdy wyglądałem gości, przy których podawano konfitury berberysowe. Po kamykach, na brzegu wyspy biegały szybko, upędzając się za owadami lub wesoło świergocąc i płasząc w powietrzu ptaszki nieco większe od pliszek, ale do nich podobne, które Wiktor nazwał *bibikami*.

Do osobliwości nad Niemnem należy napotkany przez nas w Kownianach prom łyżwowy, chodzący przy linie, a do rzeczy najpospolitszych stara karczma z dziurawą strzechą, w której oprócz wódki niczego więcej dostać nie można, ale za to pełna rozczochranego drobiazgu semickiego. Na piaszczystych wyżynach pod wioską znalazłem ślady cmentarzyska z późniejszych już czasów, a w innym miejscu nieliczne wprawdzie, ale nieulegające wątpliwości krzemienne szczątki narzędzi wykonanych ręką przedhistorycznego człowieka, wywiewane i zawiewane lotnym piaskiem. Poniżej Kownian napotkaliśmy drugą wyspę na Niemnie ze śladami poprzecznego, niegłębokiego przekopu.

Okolica uboga tu w lasy, a bogata jeno w piaski. Niemen poszerza się, lecz za to płynie wolniej, brzegi tracą malowniczość. Pierwszy jednak nasz obiad spożyliśmy bardzo romantycznie w cienistym olszniaku, na miękkiej murawie, przy szmerze krynicy, oddychając aromatem małej, kwiecistej łączki. Obok w olszynie zawodził słowik, a nad nami świergotał skowronek, brakowało tylko zefiru, który by ochłodził nasze uznojone ruchem i upałem, ku ziemi ciężące jak ołów członki.

Troskliwa matka moja zaopatrzyła nas hojnie na drogę w wyborne domowe wędliny, ale upał 30-stopniowy odbierał apetyt na podobne przysmaki. Przewoźnik nasz tymczasem położył przed nami olbrzymi bochen razowego chleba, wspaniały dar ziemi litewskiej dla jej gości, sól w tabakierce brzozonej (nieużywanej do tabaki) i kubek zimnego nektaru, sączonego przez pierś ziemi rodzinnej.

Nie tykając wędlin wzięliśmy się do chleba czarnego, który smakował nam jak piernik toruński. Gustaw marzył o bigosie i zrazach z kaszą, ale gdy tych nie było, zabrał się za moim przykładem do razowca. Wiktor spożywał swoje śledzie, powiadając, że gdy ryba wody zapragnie, tej w Niemnie nie zabraknie.

Pokrzepieni ruszyliśmy dalej na północ szlakiem Jagiełły z roku 1418. Przy prawym brzegu, pod pięknym liściowym lasem kilku ludzi w odzieży brodząc po pas w wodzie, łowiło ryby. Gęsta sieć, której używali, służyła na połów drobiazgu i nazywała się *włókiem*, tak samo jak nad moją rodziną Narwią. W ogóle Niemen niełatwy jest do rybołówstwa i posiada mało rybaków. Stanowi on pod tym względem zupełną sprzeczność z częścią podlaską Narwi (od Suraża do Wizny), gdzie prawie wszyscy mieszkańcy wiosek nadbrzeżnych mają swoje „czółna” i zajęci są dniem i nocą tępieniem rodu rybiego. Niemnem przebyliśmy już blisko trzy mile od Grodna i dopiero spotkaliśmy pierwsze rybackie czółno i siatkę. Czółno było równie jak stare czółna na Narwi, z jednej kłody drzewa wyżłobione, tylko głębsze i na obu końcach miało zacięte czopy do ujęcia. Leżało na nim wiosło kształtu nie tak wysmukłego jak podlaskie lub mazowieckie, ale krótsze i szersze, więcej zbliżone do łopaty, na jakiej chleb wsadzany bywa do pieca i czarownice w pojęciach ludu jeżdżą na tyse góry sejmikować z diabłami. Przyczyną tej różnicy kształtów jest może większa bystrość Niemna.

Na piaszczystym wzgórzu, przy ujściu rzeczki Hoży, leży na prawym brzegu wieś Hoża. Gromadka okopconych strzech stanowi rażącą sprzeczność z nazwą. Stara ta osada może i była niegdyś hożą, ale chyba za Witolda, który nieraz cwałował traktem z Wilna do Grodna (a razu jednego przebył, jak mówi Długosz, całą tę drogę we 24 godziny) lub za Kazimierza Jagiellończyka, który założył tu kościół, uposażony następnie (r. 1494) przez syna jego Aleksandra. Dzisiejszy dom boży wymurowany został nie tak dawno. Naprzeciw tej wioski Niemen opływa obszerną wyspę, osinowym laskiem porośłą, poniżej której znajduje się druga niewielka wysepka.

Okolo siół Plebańskie i Piaskowce, na brzegu lewym, tudzież w okolicy wsi Jaćwież na prawym, natrafiłem znowu na krzemienne ślady przeddziejowego pobytu człowieka nad Niemnem. Nazwa Jaćwież nadawana była osadom prusko-litewskiego plemienia Jadźwingów, których pierwotna siedziba leżała na północy Podlasia, w okolicach dzisiejszego Ełku, Rajgrodu i Augustowa, a którzy wyparci później orężem z Polski i Rusi, znad górnej Narwi szukali schronienia u pokrewnej Litwy. – W pokładzie żwiru pod wsią Plebańskie znalazłem kopalne szczątki kostne jakiegoś zwierzęcia.

Jar niemnowy przecinając nieprzepuszczalne głębsze warstwy gliniastego iłu, posiada na swych stokach mnóstwo zdrojowisk. Woda w niektórych miejscach takich kapie ze stromego urwiska jak deszcz ze strzechy, a brzeg nadrzeczny, gdzie ta woda spływa, jest grząski i trudny do przebycia. Gdzie na piaszczystej krawędzi las porasta, tam przez osuwanie się ziemi podmywanej spod korzeni niektóre drzewa pochyliły się nad wodę grożąc upadkiem do Niemna. I owe czarne dęby starożytne w nurtach jego, o których nam Wiktor prawi, musiały w tenże sposób runąć przed wiekami do niemnowej topieli. W okolicy ubogiej w pastwiska, którą teraz przebywamy, krowy i woły nauczyły się brodzić przy brzegach i zanurzając łeb do wody po uszy, wyciągać z niej rzeczne zielsko na pokarm.

Już pod zachód słońca przybyliśmy do Niemnowa, gdzie łączy się z Niemnem przez wpadającą do niego rzekę Hańczę, piękny 20-milowy kanał augustowski, zbudowany w latach 1824–1839, kosztem kilkunastu milionów złotych, wydanych przez skarb Królestwa Polskiego. Ponieważ poziom wody kanału wyższy jest od poziomu Niemna o łokci szesnaście, zbudowaną jest przeto okazała, potrójna śluza cztery wielkie bramy dębowe posiadająca. Trzy komory jej na stoku od kanału do Niemna, jedna przy drugiej zbudowane, są oczywiście tak obszerne, że każda z nich pomieścić może berlinkę lub wicinę. Żałowaliśmy, że nie przybyliśmy wcześniej, gdy spuszczano z kanału na Niemen mnóstwo tratów z potężnych kłoców drzewa, splawianego tędy z rządowych lasów augustowskich do Królewca. Wśród cienistego sadu, przy szerokiej alei, stoi dworek urzędnika kanałowego. Burty kanału także osadzone drzewami jak i jego rozszerzenie w rodzaju portu przy najwyższej śluzie. Ściany komór śluzowych zbudowane z ciosu, a nad jedną z bram znajduje się most zwodzony. Od

tych śluz wodna droga kanałem, jeziorami, Hańczą, Netą, Biebrzą i Narwią z Niemna do Wisły, czyli od Niemnowa do ujścia Narwi pod Nowo-Georgiewskiem<sup>18</sup> wynosi mil 62,5.

O zmroku ruszyliśmy z Niemnowa na nocleg do gospody, położonej naprzeciw Przełomu. Poniżej Sieniewicz mineliśmy sporą wyspę i na lewym brzegu torfowisko bardzo ciekawe z tego względu, że stanowiąc wybrzeże, sięgało dość głęboko pod poziom niskiego obecnie stanu wody w Niemnie. Tak przebywszy w długim dniu czerwcowym ósmą część zamierzonej drogi do Kowna, wylądowaliśmy pod dużą karczmą sieniewicką.

Rzęsiste światło w izbie karczemnej zapowiadało, że gazdowie tego przybytku gwoli piątkowego wieczoru obchodzili starożytne święto Sabatu. Odgłos zgietkliwej modlitwy kilkunastu talmudystów nie budził nadziei znalezienia cichego wywczasu i posiłku pod tym dachem. Przed karczmą stała gromadka gwarzących kmieci, których pozdrowiłem po chrześcijańsku, co dało im o nas dobre wyobrażenie i było wstępem do rozmowy. W tejże jednak chwili wysunęła się z gospody w świątecznej peruce i sterczącym jaskrawym na niej czepku ciekawa arendarzowa. Za nią przez wysoki próg sieni karczemnej przestąpił poważnie sam arendarz w czarnym długim żupanie, pończochach i pantoflach, przepasany kolorową chustką. Spojrzał badawczo na nas i na nasze walizki i udając człowieka domyślnego, oznajmił, iż wie dobrze, że jesteśmy inżynierami od Niemna. Ja widząc, iż taka godność bardzo wysoko nas podnosi w oczach arendarza, potwierdziłem skinieniem głowy jego domysł. Żyd też kłaniając się, zapraszał nas uprzejmie do gospody.

Różnica ciężkości gatunkowej powietrza zewnątrz i wewnątrz domu musiała być olbrzymia. Niemile wyziewy szynkowanej, najgorszego gatunku wódki walczyły o pierwszeństwo z odorem obficie spożywanej cebuli. Dziwne było, iż w podobnie trującym zaduchu potrafiły zachować życie i ruchliwość miliardy much i że tylko chyba dlatego owady te z izby karczemnej nie uciekły, że okna jej nie były nigdy otwierane. Ponieważ szynkownia była w obecnej chwili domem modlitwy, gospodarz zaprowadził nas do „alkierza” czyli sypialnej swojej za szynkownią izdebki, która do wszystkich zalet izby pierwszej, łączyła idealną ciasnotę. Dwa bowiem łoża z niebotycznymi piramidami puchowej pościeli, pod firankami podobnymi do baldachimów, tak dalece wypełniały całą przestrzeń alkierzyka, że na żaden sprzęt inny nie było już w nim miejsca. Tutaj to gościnnie gospodarz ofiarował nam nocleg i z pewnym zgorszeniem i podziwem spojrzął na nas, gdyśmy zażądali jakiej szopy z sianem lub słomą do wywczasu.

Siana nie było, chyba w herbacie, którą popijaliśmy, jedząc wcale niezłe szabasowe gule. Gdym położył na stole kompas kieszonkowy, arendarz wszystkowiedzący zapewnił mnie, iż pewien profesor z Królewca (zdaje się przez pruskie ministerium wojny wydelegowany), który przed rokiem badał Niemen, miał taką samą „miarę” do mierzenia głębokości i brodów tej rzeki. Dalej opowiadał nam, że zamożny obywatel tej okolicy Wołowicz projektuje parową żeglugę, której główna stacja, podług arendarza, powinna być założona przed jego karczmą.

Jak człowiek tonący, który wydobył się spod lodu na powietrze, tak my doznaliśmy podobnej rozkoszy wychodząc z karczmy pod gwiaździste niebo wspaniałego wieczoru nad Niemnem. Piersi nasze oddychały chciwie chłodem nocy. Obfita, zimna rosa pod promieniami księżyca okryła srebrzystym welonem dolinę szemrzącej rzeki, której łoża nadbrzeżne rozlegały się śpiewem słowików i gwarem żab, przeplatanych krzykami wodnego ptactwa. Jakże nie kochać tej przyrody, kiedy to wszystko takie swojskie, takie rodzinne, wykarmione sokami tej ziemi i wonią tych pól, i ten lud wiejski z wiarą do tych krzyżów przydrożnych i tradycją obyczaju i ciepłem tych ognisk domowych.

Pomimo znużenia całodzienną wędrówką chciało się nam przechadzać bez końca i napawać widokiem nadniemeńskiego wieczoru. Więc poszliśmy ścieżką nieznaną między bujnym żytem i wrzącą śpiewem słowików gęstwiną, a ścieżka tu zawiodła nas niespodzianie w malownicze ustronie nad brzeg nieznaną nam rzeki. Dopiero teraz przypomniałem sobie, iż około Sieniewicz wpada

---

<sup>18</sup> Nowo-Georgiewsk – dziś: Modlin. [przypis edytorski]

do Niemna Czarna Hańcza. W szerokiej szybie wody odbijał się szafir pogodnego nieba, milionem gwiazd zasiany, a blask księżyca połączył mostem srebrzystym, lśniącem dwa przeciwległe brzegi rzeki. Niekiedy rzuciła się ryba z toni jak duch litewskiej ondyny<sup>19</sup>, a taki sam widok musiał mieć wieszcz przed sobą, gdy pisał:

„Jeżeli nocną przybliżysz się dołą  
I zwrócisz ku wodom lice,  
Gwiazdy nad tobą i gwizdy pod tobą,  
I dwa obaczysz księżycę”.

Czarna Hańcza bierze początek z jeziora tejże nazwy, słynnego z sielaw, a położonego o mil stąd kilkanaście, przy granicy pruskiej. Płyne koło Suwałk, dalej przez wielkie jezioro wigierskie<sup>20</sup> i przerzyna rozległą, dawną puszcę grodzieńską, czyli tzw. perstońską, na północ której leżał „trakt zapuszczański”. Nazwę Hańczy naiwnie wywodzono od słów księcia litewskiego Trojdena, który party przez Mazurów, ustąpiwszy na lewy brzeg tej rzeki, miał zawołać po litewsku „gana cze!” – (dosyć tutaj), uznając ją za granicę z Mazowszem. Oczywiście jest to sobie bajeczka dziecinna, tak jak wszystkie wywody nazw od słów przypadkowo przez kogoś jakoby wyrzeczonych. W zeszłym wieku podskarbi Tyzenhauz budował na Hańczy tartaki i tamami podnosił wodę, dla większego usplawnienia rzeki. Czy pozostały tego jakie ślady – wątpimy.

Korzystając z uroczej nocy, postanowiliśmy owinąwszy się w burki, przenocować w życie nad Hańczą. Ale rosa okazała się tak obfita, że burki od niej przemakały, żaby zaś skakały po nosach, co nie było wcale przyjemne. Powróciliśmy więc do łódki, w której nocował nasz przewoźnik twierdząc, iż niepilnowaną mogliby ukraść oryle, gdyż w ich wodnym obyczaju zabranie rzeczy niepilnowanej i nieuwiązanej nie uważa się za kradzież ani grzech, a nawet płótno na bielniku przez nikogo niestrzeżone i do ziemi nieprzypięte sumienie orylskie pozwala zabrać z sobą. Usiłowaliśmy tedy zasnąć w czajce na falach Niemna, ale i to okazało się niemożliwe – z przyczyny chłodu nocy wiosennej nad wodą. Wszyscy dzwoniliśmy zębami, otulając uszy przed śpiewem natrętnych słowików w przyległych zaroślach. Wiktor pocieszał, że gdy jęczmień zacznie kłosy „wywijać” (mniej więcej za dwa tygodnie), to słowiki zamilkną i noce chłodne miną niezawodnie.

Gustaw został na łódce, ja poszedłem szukać noclegu przy domostwie arendarza. W gospodzie zastałem nowych i trochę podejrzanych turystów, którzy sami nalewali sobie „siwuchę” z kwarty, bo gospodarz gwoli święta nie mógł własnoręcznie tego skutecznić. Do fetoru wódki i cebuli przybył jeszcze dym ich machorki. Prosiłem o wskazanie jakiej stajenki lub wozowni. Otworzono mi izbę w drugiej połowie domu, gdzie powitały mnie chóralnym okrzykiem przestrachu trzymane w kojcu prawnuczki kapitoliańskich zbawicielek<sup>21</sup>, tuczone zapewne na szmalec przez żonę arendarza. Nie darmo i na Litwie powstała bajeczka, że ptaki te były godłem Warpasa, pogańskiego bożka pobudki. Z drugiego kąta izby dochodziły jakieś stłumione jęki i ciężki oddech ludzki. Poszedłem do izby karczemnej zapytać, co to znaczy? objaśniono mnie, że jest to chory chłopiec, syn wyrobnicy usługującej w gospodzie, że pewnie żyć nie będzie, bo już wszystkie baby sieniewickie wyczerpały swoje lekarstwa i uroki nad nim odczywały, a on trzeci tydzień wije się na pościółce<sup>22</sup>. Powróciłem i strudzony rzuciłem się na poślaną dla mnie słomę w środku izby na glinianem klepisku, między gęsiami i chorym chłopcem.

---

<sup>19</sup> *ondyna* – boginka wodna. [przypis edytorski]

<sup>20</sup> *jezioro wigierskie* – Wigry. [przypis edytorski]

<sup>21</sup> *kapitoliańskie zbawicielki* – gęsi; nawiązanie do legendy, według której żyjące w świątyni Junony na Kapitolu, poświęcone bogini gęsi swoim „krzykiem” obudziły obrońców Rzymu, spostrzegłszy jako pierwsze podkradających się pod mury miasta napastników-Gallów. [przypis edytorski]

<sup>22</sup> *pościółka* – dziś: podściółka. [przypis edytorski]

Zasnąłem, ale pomimo to słyszałem jeszcze stękanie chorego, alarm gęsi po każdym poruszeniu się moim lub bieganiu szczurów czy kun, które także gospodarowały w tej izbie. A w sennej wyobraźni przesuwały mi się różne mary i widoki. O wstrętnych zamilczę – miłe widziadło wspomnę. W miejscu starego karczmyska stał niby staroświecki dworek wiejski, a szlachetna dusza kapłanki tego ogniska otaczała chorego sierotę anielską opieką rozumnej myśli, serca i chrześcijańskiej ręki. Było to niby wspomnienie z dziecińczych lat moich, znad Narwi.

Gdy zerwałem się ze słomy, słońce już zeszło, chory spał spokojnie, a gęsi przestraszone raz jeszcze podniosły przeraźliwy okrzyk trwogi, na co wszedł nasz arendarz, który miał zapewne sen szabasowy rozkoszny, że za tyle okazanej inżynierom uprzejmości pozyska stację dla parowców pod swą karczmą.

Mogłem się teraz lepiej rozpatrzyć w okolicy. Niemen rozlewa się tu szerzej, a między jego korytem dzisiejszym i starą łachą, nad którą stała karczma, leżała spora wyspa, porośnięta od strony łądu gęstą łożą, a od Niemna chwastem szerokolistnym. Ten gaj łożowy był właśnie siedzibą takiego mnóstwa stadel słowiczych, jakiego nigdy i nigdzie więcej w życiu moim nie spotkałem. Słowiki miały tutaj raj prawdziwy, bo znalazły sobie za łachą wodną niezdobytą twierdzę, na którą tylko z żalem spoglądały koty arendarza. Ja zaś zauważyłem, iż wiele latorośli tej łoży zakończonych było szczególnym narostem, podobnym do miniaturowych, bo wielkości tureckiego orzecha, główek kapusty. Tego rodzaju kwiatu, czy też narośli, spowodowanych przez owady zakładające sobie gniazda, nigdzie więcej nad Niemnem nie znalazłem.

Prawie wprost ujścia Czarnej Hańczy, na piaszczystych wzgórzach prawego brzegu Niemna, leży wieś Przełom, z drewnianym kościółkiem, słomą krytym, do którego tylko w święta doroczne przybywa kapłan celem odprawienia nabożeństwa dla parafian. Był tu w XIV wieku grodek, czyli zameczek litewski, a historycy Litwy domyślają się, że dzisiejszy Przełom jest w kronice Wiganda ową Perłą, pod którą Elner, komtur Balgi krzyżackiej, stoczył roku 1378 na moście krwawą bitwę z Litwinami.

Obliczywszy zdobycze dnia poprzedniego, czyli wszystko cośmy: widzieli, słyszeli, znaleźli, odrysowali lub zapisali, a także doświadczyli, uznawszy sumę tego wszystkiego za dość pomyślną, ruszyliśmy w dalszą drogę, pozostawiając w Sieniewicach śpiącą rodzinę arendarza, milczące słowiki, a tylko kukającą kukułkę. Nad Czarną Hańczą leży wioska Warwiszki, pierwsza z prawdziwie litewską nazwą napotkana przez nas od Grodna. Końcówka *-szki* odpowiada pospolitemu zakończeniu nad Wisłą na *-ice* i na Rusi na *-icze*. Wrona zowie się po litewsku *warna*, a nazwa wioski powstała zapewne od tego, że była to pierwotnie osada rodziny, której ojciec zwał się Wroną. Po polsku nazwano ją od synów Wrony – Wronowicami; po litewsku została Warwiszkami.

Koło Przełomu widzieliśmy mnóstwo sążni przygotowanego do spławu na batakach drzewa opałowego, to samo i przy karczmie warwiszkowskiej, gdzie po stosach dębowych klepek i sosnowych beczek na smołę, można było domyśleć się siedziby bednarza. Brzegi Niemna są tu bezleśne, piaszczyste, dość płaskie i smutne, zwłaszcza między Hożą i Przewalką, ale okolice dalsze posiadają jeszcze rozległe bory. Niemen dochodzi miejscami do kilkuset kroków szerokości, a wtedy bywa płytki przy brzegach i środkiem miewa mielizny. Gdy z powodu nadzwyczaj płytkiej wody nie mogliśmy w jednym miejscu dotrzeć łódką do łądu i już mieliśmy zdejmować obuwie, Wiktor zaproponował nam, że nas na plecach swoich, jak mówią dzieci „nosita barana” powynosi. Jakoż skutecznił to po kolei bez żadnego wysiłku. Wszak i Jazon w czasie wyprawy Argonautów do Kolchidy przeniósł Junonę w postaci starej baby przez jakąś rzekę, przy czym, jak twierdzą starzy dziejopisowicze i poeci, zgubił jeden trzewik.

O ćwierć mili poniżej Przełomu, koło małej wysepki osiedliśmy na mieliznie, czyli jak mówią flisowicze „na haku”. Dla naszej małej łódky nie można było nazwać tego przystanku, ale dla ładownych wicin i batów „hak” bywa prawdziwym nieszczęściem. Jeżeli pędzony prądem wody, wiatrem lub przez niebaczną sterownością osiadzie większy statek „na haku”, a ludzie nie zdołają go zepchnąć lub liną ściągnąć z mielizny, to nastąpić musi „lichtuga” (z niemieckiego *Leichtung* – ulżenie) tj.

przeładowanie części ciężaru na statek inny, zwykle bat mniejszy, rodzaj „szuhalei”, zwany stąd „lichtancem, lichtańczykiem”, co nieraz znaczny koszt za sobą pociąga. Aby nie sięść „na haku”, sternik powinien bacznie trzymać się „drogi” (głównego prądu), którą wprawne oko poznaje z dala po powierzchni wody. „Droga” rzadko się trzyma samego środka rzeki, ale zwykle przerzuca się od brzegu do brzegu, tworząc „buchtę” i „kolana”. W miejscach wątpliwych i gdzie „soły” są mniej widoczne, oryle dla wzajemnej przestrogi zatykają na mieliznach gałęzie, a na brzegach, pod którymi idzie droga, słomianą wiechę. Gałąź taka zowie się „warą”, a wiecha „wiankiem”. Tak tedy w dniu drugim naszej podróży nie byliśmy już frycami na Niemnie, bo jak mówi litewskie przysłowie: „diena dieną mokin” – „dzień jeden nauczycielem drugiego”.

Koło wsi Szaban napotkaliśmy w lesie majdan smolny, gdzie kilku czarnych jak kominiarze robotników uwijało się wśród stosów węgla, popiołu i kłębow dymu, a wyglądali oni jak negrzy w dzikim lesie amerykańskim. Poniżej Szaban mineliśmy rapę, która nosi nazwę „Jewusi, Jewuśki”, czyli Ewusi. Czemuż nasza prababka Ewa nie miała krwi tak zimnej jak woda w Niemnie i serca tak twardego i niewzruszonego jak ta Ewusia niemnowa, a może dotąd ród ludzki nie pokutowałby skutkiem wygnania jej z raj.

Śladów przedhistorycznego pobytu człowieka szukaliśmy dziś nadaremnie. Zauważyłem tylko pod Szandubrami wśród kilkunastu przez naturę rozrzuconych głazów, jeden wielki, trójkątny, z płaskim bokiem na wierzchu jak stół czy ołtarz ofiarny. Okolica, którą przebywamy, była za dawnego podziału częścią powiatu grodzieńskiego w województwie Trockiem. Czarna Hańcza uważana była za etnograficzną granicę w Augustowskim między Litwą i Mazurami. Ale na obu brzegach Niemna siedzieli z dawna w tej okolicy Rusini aż po Hańczę Białą, którą też Wiktor ukazał nam jako ludową granicę właściwej Litwy. Rusini mieszkają tu na glebie lichej i są ludem niezamożnym, mniej od litewskiego pracowitym i skrzętnym. Chętnie zajmują się wypalaniem smoły i dziegiu, polowaniem, tudzież orywką na Niemnie i kanale augustowskim. Mężczyźni noszą długie świty z domowego, siwego samodziału, obszyte czarną tasiemką, a zapinane na takież pętliczki i guzy. Spodnie mają albo z takiegoż samodziału, albo z „partu”, czyli domowego, grubego płótna. Niewiasty noszą samodziałowe siwe „przyjaciółki” lub cieńsze, sukienne, fałdowane z tyłu, a spinane na pasek. Na nogach mają płytkie trzewiki bez obcasów, ale latem w dzień powszedni lud zwykle, jak w całym kraju, chodzi boso.

Przy spotkaniu pozdrawiali nas wszyscy wyrazami: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!” i rozmawiali po polsku, lecz między sobą dialektem białoruskim z domieszką niektórych wyrazów litewskich i polszczyzny. Zapisywałem niektóre wyrażenia spotkanych ludzi. Dziękując np. za podarek, mówili: „Niechaj Pan Bóg da panu długie panowanie”. Rusin w porównaniu do Mazura jest więcej ponury i śpiewa prawie zawsze na smutną nutę. Oto próbka dialektu tutejszego w pieśni weselnej:

Najechało hościkou [gości] połny dwor,  
Aj, zaznaj, poznaj, kotory twój?  
Szto u zieleni, szto u czerwieni, to nie moj,  
Szto u siweńku na woroneńku, to to moj,  
Szto za stolikom i z pacholikom, to to moj”.

Obok tęsknych dum, płynących najczęściej z uciśnionego serca dziewicy, lud tutejszy ma i pieśni żartobliwe. Np. jedna z weselnych tak żartuje ze swata:

„Kazali [mówili]: swat pan, pan,  
A na niom sołomien żupan,  
Łukom opierezałsia,  
Za szlachcica pišałsia,

A nohawicy z kostrycy,  
A rukawicy z mietlicy<sup>23</sup>” itd.

W pieśni dożynkowej, śpiewanej przed domem gospodarza przy oddaniu mu wieńca, wieśniacy żartują sobie z pana, pani i domowników:

„A nasza pani nie rada gościom,  
Schowała się z jegomościom,  
Plon niesiem, plon” itd.

Na piątej mili ku północy od Grodna, przy ujściu Białej Hańczy, zaczyna lud mówić po litewsku. Podobną granicę językową spotkałem w powiecie lidzkim, nad Dzitwą. Tu na przełomie dwóch narzeczy leży przy ujściu Białej Hańczy wieś Świętojańsk, a dalej Przewałka. W Bugiedzie i Szabanach gwara jeszcze rusińska, a w Szandubrach i Gierdaszach już litewska. Tu i tam lud mówi też po polsku. Kobieta zapytana, jak daleko do Przewałki, odrzekła: „Niewielmi daleko”. Granica dwóch języków nie stanowi tu jednak granicy rodowej dwóch plemion. Krew i mowa to nie zawsze to samo. Całe szeregi wieków pracowały nad pomieszaniem krwi plemion nad Wisłą, Niemnem, Dźwiną, a jednak znaczne różnice językowe pozostały i utrwaliły się.

Przewałka była niegdyś starostwem, dziś fermą skarbową, dzierzawioną przez pana Jana Pileckiego, zasłużonego lekarza w Druskiennikach. Kręty Niemen rozdziela się tutaj na dwa koryta: stare i nowe, tworząc kilka piaszczystych wysp. W stromych burtach brzegowych nad wodą napotkaliśmy tysiączne otwory z gniazdami jaskółek ziemnych, czyli grzebulek (*Hirundo riparia* L), które lud miejscowy nazywa *bierahulkami*. Otwory nerek ziemnych, wygrzebanych przez te ptaszyny, nie mają więcej nad trzy cale średnicy i są tak gęste, że ściana wybrzeża wygląda jak rzeszoto. Nad wodą krążyły całe chmury grzebulek, zatrudnionych wśród wesołego świergotu polowaniem na owady, a co chwila wlatywały do swych gniazdek ze zdobyczą dla piskląt, ja zaś nie mogłem sobie wytłumaczyć, w jaki sposób nie myliły się w poznawaniu swych siedzibek.

Gdyby to było prawdą, co o litewskim bałwochwalstwie napisali po ochrzczeniu Litwy: Strykowski, Łasicki, Malecki i inni, to wstępowałibyśmy teraz pod niebo gromowładnego *Peruna*, na wody którymi zawiaduje olbrzymi *Audrimpos* i *Upine*, opiekunka rzek litewskich, a zwłaszcza *Nemonas* bożek Niemna, w którego głębiach mieszkają zwodnicze *Dugny* i *Ondyny*. *Wibilja*, *Bentis* i *Guže* prowadzą szczęśliwie żeglarzy, którzy błagają *Bangpotisa* o wiatr pomyślny, *Pucisa* o chłodzący w czasie upału, *Poklusa*, aby nie zesłał nieszczęścia i *Gardoeldisa*, aby nie zawył burzą. Ten ostatni bożek odznaczał się podobno interesownością naszych czasów, bo przyjmował tylko w ofierze napełnione rybami naczynia głębokie i szerokie. Widocznie i Niemen bywał dawniej rybniejszy.

Profesor Mierzyński wykazał, że o powyższym Olimpie poganie litewscy nic nie wiedzieli. Czciłi oni tylko siłę wytwarzającą płody wszelkie, tj. Matkę, Opiekunkę ziemi, roślin, zwierząt, dając bóstwu nazwę *Zeminele*. Ta bogini ziemi *Zeminele* miała brata *Zempalisa*, który był tylko bóstwem zagrody, siedziby (sodibe) gospodarza. Na cześć jego tlił się wieczny ogień. Czciła także Litwa w ogóle zjawiska sił przyrody, jak np. słońce, księżyc, gwiazdy, pioruny, ogień, góry, rzeki, wiatry i dęby starożytne, których wypróchniałe wnętrza uważała za mieszkania duchów. Wierzono w przechodzenie dusz w drzewa. Uważano śmierć za chwilę przejścia duszy z jednego ciała, które umiera, w ciało drugie, które się rodzi. Jadźwingowie nie dbali o życie, gdyż wierzyli, że dusza umierającego za sprawę szlachetną, przechodzi w ciało rodzące się. Każde zwierzę, każdy ptak, podług mniemania ludu litewskiego, był niegdyś człowiekiem, który za nieposłuszeństwo woli bogów został skazany w inne stworzenie na pokutę.

---

<sup>23</sup> *A na niom (...)* z mietlicy – a na nim żupan słomiany, przepasał się łykiem, udaje (pisze się na) szlachcica, a nogawice z kostrycy (trzciny, sitowia), a rękawice z mietlicy (rodzaj trawy łąkowej). [przypis edytorski]

Tak więc zaroily się w wyobraźni pogańskich Litwinów łąki, drzewa, gaje i gąszcze leśne duchami, nimfami i bożkami, a podług sprawianych wrażeń były to duchy złe lub dobre, życzliwe lub szkodliwe. Istniały bóstwa oddzielne dla pewnych terytoriów i ziem. Niewiasty zbierały się na modły koło lipy, mężczyźni koło dębu. Ogień z drzewa brzoźowego rozjaśniał ciemną przyszłość i służył do wróżby. Cała Litwa pokryta była świętymi drzewami, gajami, lasami, a cześć im okazywana uderzała każdego cudzoziemca. Nie ma też narodu, który by więcej niż Litwini opiewał w pieśniach drzewa i w ogóle roślinność. Boginią lasu na Litwie i Żmudzi była *Medeine*, a oprócz niej roiło się na Żmudzi mnóstwo bożków i duchów leśnych niewiadomego nam nazwiska. Były wyspy, które od lasów poczytywano za święte. Cześć dla wód i rzek była bardzo rozpowszechniona. Wiele rzek nosiło nazwę Świętych (*Szwenta, Szwentupis, Szwentupelis*).

Chaty Litwinów i Rusinów nie różnią się tu niczym od siebie. Wszędzie ich strzecha tworzy wielki okap, niby podsienie, gdzie kmieć zabezpiecza i zawiesza przed słotą narzędzia i porządki<sup>24</sup> gospodarskie. Wszędzie te same o czterech szybkach małe okienka, zabytek owych czasów, gdy nie znając szyb szklanych, używano jeszcze błon pęcherzowych. Chat „kurnych” więcej jest u ludu litewskiego niż na Rusi grodzieńskiej. Dymniki, czyli kominy, często klecone są ze słomy, chrustu lub desek oblepionych gliną, rzadko murowane z cegły.

Używane do uprawy roli sochy prawie nie różnią się od podlaskich. Socha litewska przypominała mi opowiadanie Gwagnina z XVI wieku, że gdy pewien wojewoda sprowadził na Litwę pługi z żelaznym lemieszem, a wydarzył się przypadkiem nieurodzaj, wojewoda obawiając się zaburzeń ludu, do dawnego sposobu orania drewnianą sochą powrócić musiał. Spotkaliśmy orzących, którzy przykrywali woły swoją siermięgą dla ochrony od owadów. Lud używa tu małych, pojedynczych z hołoblami wózków, jakby bryczek wybitych dranicami. Konie małe, ale zwięzłe i silne, podobne do rasy żmudzkiej, brodząc po wodzie u brzegów i łeb zanurzając po uszy, jak rogowca żywiły się wodnym zielskiem.

Gleba tych okolic piaszczysta i uboga wymaga częstego ugorowania. Przy dobrym gospodarstwie społecznym wszystkie podobne obszary należałoby obsiać sosną lubiącą grunt lekki, urodzajne zaś ziemie w innych okolicach drzemiące jeszcze pod lasami, powinny być przemienione na pola. Wzrosłaby wówczas znacznie produkcja drzewa na piaskach i ziarna w okolicach urodzajnych. Przyjdzie do tego w przyszłości niezawodnie, ale dopiero gdy przeludnienie zmuszać będzie silniej do zwiększenia produkcji chleba.

Na początku wieku XIII żył w Skandynawii czy Islandii dość głośny dziejopis, poeta i podróżnik Snorri Sturluson. On to nawiedzając Litwę Niemnem, jako jej głównym i jedynie przystępnym traktem, wspomina nadniemeńską miejscowość *Misiri*. Nowsi historycy nasi twierdzą, że to musi być Merecz dzisiejszy. Któż wie jednak, ażali<sup>25</sup> nie odmieniliby swego zdania, gdyby wiedzieli, że o trzy mile powyżej Merecza leży wioseczka zwana obecnie Mizery, którą na lewym brzegu Niemna poniżej Dzierżów mijamy. Że w Mereczu jest stara góra zamkowa, a w Mizerach jej nie ma, to jeszcze niczego nie dowodzi. Pomiędzy Mizerami i Druskiennikami, w pięknej okolicy znajduje się na Niemnie wysepka. Niemcy założyliby pewnie na niej kręgielnię i piwiarnię, ozdobili baniami szklanymi i uczynili punktem wycieczek dla gości kąpielowych. Ja miłego jednak doznałem wrażenia, że znalazłem na niej tylko kwiaty litewskie i łożę, a zamiast katarynki słyszałem świergot bibików.

Jako wielbłąd ku słodkim źródłom libijskiej oazy, tak ja objuczony rozmaitymi skamieniałościami brnąłem, szukając zabytków krzemiennych po głębokim, gorącym piasku nadbrzeżnym do słono-gorzkich krynic druskiennickich. Słońce zbliżało się ku zachodowi, gdy wdrapawszy się na leśną górę nadbrzeżną, ujrzałem jak na dłoni prawie przeciwnie Druskienniki. Byliśmy zabłoceni, zapyleni i oblani potem po uszy, należało więc za pomocą pierwszej w

<sup>24</sup> *porządki* – tu: sprzęty. [przypis edytorski]

<sup>25</sup> *ażali* a. *azali* (daw.) – czy. [przypis edytorski]

Niemnie kąpeli przemienić się przed przybyciem do wód litewskich w ludzi niepodejrzanych. W miejscu obranym przez nas na kąpiel, dno Niemna pokrywała warstwa ostrego żwiru, po którym chodzić można było z trudnością, ale za to wyszukiwać łatwo skamieniałości wapienne z dziedziny paleontologii kopalnej. Kąpiel jednak byłaby rozkoszną, gdyby nie to, że zaraz po wstąpieniu do wody usłyszeliśmy za górą silny grzmot, po którym wielkie krople deszczu zaczęły z rzadka pluskać na zwierciadlaną powierzchnię rzeki. Jakby kto dołał wrzasku do naszej kąpeli, tak wyskoczyliśmy nagle na wybrzeże, aby zabezpieczyć przed ulewą pootwierane walizki i porozkładane na trawie nasze rzeczy. Deszcz się wzmaczał i grom drugi uderzył znacznie bliżej, a bór sosnowy nad naszymi głowami zaszumił jak przed burzą. W gorączkowym pośpiechu chwytałyśmy co kto mógł na siebie i do walizek, co było przyczyną śmiesznej mieszaniny garniturów orylskich z wizytowymi. Uciekaliśmy na gwałt sieczeni ulewą do znanej mi z lat poprzednich najbliższej Niemna gospody w Janopolu przy przewozie naprzeciw Druskiennik. Ale ciążyło nad nami jakieś fatum. Z karczmy w Janopolu sterczał tylko komin, bo przed paru tygodniami zgorzała od pioruna. Schroniliśmy się zatem do ziemianki, zbudowanej przez jakiegoś biedaka na stoku wybrzeża. Przed rokiem będąc tutaj, widziałem z daleka tę ziemiankę i zadawałem sobie pytanie, jak też ludzie mogą mieszkać w takiej norze. Dziś, jako schronienie przed burzą, wydała mi się błogosławionym przybytkiem dobrej nadziei.

Byliśmy jednak przemoknięci do nitki. Widocznie zagniewał się na nas Gardoeldis, problematyczny litewski bożek burzy, żeśmy zamiast przejednać go ofiarą ryb w naczyniach głębokich i szerokich, jeszcze naśmiewali się z niego. Już to do Druskiennik nie miałem szczęścia. Przypomniałem teraz sobie, jak w roku zesłonym 1871 przybyłem tu po raz pierwszy i wspomnienie to powtórzę.

Była to noc jesienna, a czarna jak grzech śmiertelny i deszcz lał także jak z wiadra. Pocztylion z Porzecza klnąc pod nosem (nie mogę zaręczyć, czy niepogodę samą tylko, czy i mnie), podjechał bryką pod pusty hotel i zostawiwszy mnie pod zamkniętymi drzwiami, dostawszy na piwo, uciekł szybko przed słońcem. Domacawszy się klamki, zacząłem pukać silnie do ciemnego i zaryglowanego domu, co poruszyło jakiegoś kundla, który zaczął mnie zajadle atakować. Jak ów tedy biblijny Izraelita, który jedną ręką budował Jerozolimę, a drugą jej bronił, tak ja parasolem odpędzałem brytana i jednocześnie dobijałem się do drzwi. Skutkiem tego hałasu dało się po jakimś czasie słyszeć nieprawidłowe stąpanie wewnątrz domu. Widocznie istota ludzka, która szukała zapalek, zapalała latarnię i miała drzwi otworzyć, posiadała jedną nogę bosą, a drugą tylko uzbrojoną ciężkim butem. Po czym otworzył chwiejający się drab i mruknawszy, że już hotel wyjechał stąd na zimę do Wilna i że teraz nikt po nocy się tu nie włóczy, chciał mi zamknąć drzwi przed nosem. Postawiłem czynny przeciwko temu opór i wciągnąłem za sobą walizkę, którą za drugi koniec wrywał mi brytan na dworze.

Udobruchany nieco dozorca hotelu druskiennickiego wprowadził mnie do dużego pokoju, gdzie zostawiwszy bez światła, mrucząc ciągle, zamknął mnie na klucz i zniknął w głębi domostwa. Zgłodniały i przeziębły, zamknięty w ciemnej i zimnej izbie, zacząłem przy pomocy zapalek badać moje siedlisko. Pokazało się, że mój numer był familijny, bo znalazłem drzwi do mniejszego pokoju, w którym stały dwa łóża bez pościeli i sofka. Na tej ostatniej więc złożyłem strudzone członki moje, a zgubiwszy w drodze rewolwer, postawiłem pod ręką na obronę podarty przez psa parasol. Zaledwie atoli<sup>26</sup> zasnąłem, gdy znowu zaturkotało pod oknami i zbudzony zostałem przez silne do hotelu kołatanie. Nastąpiło znowu to samo stąpanie w jednym bucie, mruczenie, otwieranie, gderanie, wpuszczenie gościa do pierwszego pokoju, wciąganie za nim ciężkiej walizy i zamknięcie na klucz. Współtowarzysz mojej doli tak samo obszedł swój pokój, a znalazłszy drzwi do mojej sypialni uchylone, zamknął je na haczyk. Zaprotestowałem wówczas, lecz to nagłe odkrycie towarzysza w ciemnym pokoju zrobiło widać sensacyjne na podróżnym wrażenie. Nie odrzekłszy nic, z mozołem wysunął szafę z kąta i drzwi moje nią zastawił. Potem się wysapał, a nie dowierzając sile barykady,

<sup>26</sup> *atoli* (daw.) – jednak, lecz. [przypis edytorski]

obwarował szafę całym tuzinem ciężkich krzesel i foteli. Opatrzył później drugie drzwi, śruby od okiennic i zamieniwszy tym sposobem swoją izdebkę w małą warownię, począł coś rozwijać z papierów i zajadać. Pomimo wzajemnego niedowierzania spaliśmy smaczno<sup>27</sup> obydwaj do dnia białego, który potem rozproszył tę nieufność.

Wówczas było to po sezonie leczniczym. Dzisiaj zaś przybywaliśmy w chwili zjazdu licznych gości na letni sezon. Po pożarze, który w same Zielone Świątki roku zeszłego (1871) zniszczył trzecią część miasteczka, Druskienniki odbudowały się szybko. Park spacerowy rozrastał się, ale najmiłszym był cienisty wąwóz bystrej Rotniczanki, która (odgraniczając gubernię grodzieńską od wileńskiej) wpada niedaleko zakładu leczniczego do Niemna. Silny spadek szumiącego tego potoku posłużył do urządzenia prysznicy kąpieli, którymi rozkoszuje się wielu, uważając za najzdrowsze na Litwie. Jeszcze w roku zeszłym przechodziło się przez Rotniczanekę tylko po desce, która przypominała przestrożę Rysińskiego, że:

„Kto po kładce mądrze stąpa,  
Ten się rzadko w błocie kapa”.

Obecnie zbudowano most w miejscu tradycyjnej kładki.

Sól nazywa się po litewsku *druska*. Gdzie więc tryskały słone źródła, tam Litwini nazwali osadę Druskiennikami, a oprócz nadniemeńskich są i inne jeszcze Druskienniki. Słone źródła, ujście Rotniczanki i jezioro o kilkaset kroków od tego ujścia (znacznie obszerniejsze dawniej), wszystko to było powodem wczesnego założenia osady tutejszej, znanej już kronikarzom krzyżackim pod nazwą Saltzeniken lub Salzeniken. Miejscowe podanie mówi, że gdzie jest dziś jezioro, tam było przed wiekami miasto zwane Rajgrodem, które dawno, bardzo dawno temu, zapadło się w ziemię. Któreż bo zresztą z jezior litewskich nie ma podania w tym rodzaju, począwszy od *Świtezii*. O Jeziorze Wisztynieckim lud powiada, że w jego miejscu stał niegdyś bór przepelniony barciami. W miejscu znów jeziora *Duś* miała się zielenić przed wiekami piękna łąka, na której noclegujący z końmi wieśniacy pewnego razu ostrzeżeni zostali przez anioła i zaledwie zdołali uciec przed falami wód, które zatopiły na wieki dolinę.

Zdaje się, że początkowym źródłem wielu podobnych podań były ślady przedwiecznych mieszkań najeziornych, tj. całych wioszek pobudowanych na palach nad wodą w czasach starożytnych. Po odkryciach Kellera w Szwajcarii nastąpiły podobne we wszystkich prawie krajach Europy, nie wyłączając Wielkopolski (Jezioro Czeszewskie) i graniczącego z Litwą Mazowsza pruskiego (odkrycia Belduhna na Jeziorze Czarnem i Tulewskim, koło Ełku). Były czasy, w których mieszkania najeziorne w całej Europie istniały, a więc niepodobna, żeby nie znajdowały się i na Litwie, posiadającej tyle jezior. Gdy znikły potem z ich powierzchni, pozostawiając ślady na dnie wód, wówczas powstały wieści o miastach zapadłych w miejscu jezior.

Dziejopisowie Litwy powiadają, że książęta litewscy zbudowali zamek drewniany przy ujściu Rotniczanki dla tamowania najazdów Zakonu. Według krzyżackiego kronikarza Dusburga, Niemcy pod wodzą wielkiego komtura Henryka Plotzke pierwszy raz w r. 1312 uczynili wyprawę w okolice Saltzeniken, szukając zemsty nad Litwą za wyprawę Witenesa do Warmii. Dusburg podaje, że było to w lipcu i że Krzyżacy zdobyli wówczas oprócz druskiennickiego dwa inne jeszcze zamki na Litwie, których załogi wycięli i 700 ludzi z Litwy uprowadzili w niewolę. Poszukiwania moje zeszłoroczne nie wykryły żadnego śladu starej warowni na płaszczynie Druskiennik.

Włościanie litewscy podobno już od wieków leczyli się wodą druskiennicką na kołtun. Dopiero atoli pod koniec XVIII wieku mineralne źródła tutejsze nabrały szerszego rozgłosu i chorzy przybywać zaczęli z dalszych okolic kraju, choć nikt jeszcze nie znał składu chemicznego wód powyższych, a porady lekarskiej udzielał jedynie włościanin Surmetis. Pierwszym naukowym

<sup>27</sup> *smaczno* – dziś: *smacznie*. [przypis edytorski]

badaczem wody druskiennickiej był delegowany r. 1830 do tego profesor Uniwersytetu Wileńskiego Ignacy Fonberg, który rezultaty swoich badań ogłosił w *Wizerunkach i roztrząsaniach naukowych* (r. 1835) oraz wydał oddzielnie *Opisanie wody mineralnej druskiennickiej*. Wówczas Druskienniki zaczęły się szybko zabudowywać staropolskimi dworami dla gości, stając się w porze letniej ogniskiem życia całej Litwy. Zjeżdżali tu ludzie możni i literaci jak Eustachy i Konstanty Tyszkiewiczowie, Józef Kraszewski, Teodor Narbutt i wielu innych. Osób przybywało niekiedy do półtora tysiąca, landarami, koczami, brykami i budami żydowskimi, a nieraz i piechotą, gdy najlepsze konie w słynnych piaskach okolicznych ustawały. O Druskiennikach pisali wówczas: Wolfgang, Nahumowicz, Hryniewicz, Jan Pilecki, J. Kraszewski, Syrokomla i inni. W kilku powieściach polskich ważną odgrywają one rolę, istotnie bowiem skojarzyło się tutaj niemało stadeł, a bawiono się towarzysko przez ćwierć wieku wybornie i serdecznie, bo bez zbyteków. Wychodziło nawet w Grodnie przez trzy lata (1844–1846) jako organ tutejszych źródeł wydawane przez doktora Wolfganga czasopismo beletrystyczne p.n.<sup>28</sup> „Ondyna Druskiennickich wód”, zasilane przez Kraszewskiego, Narbuttów, Czeczota, Jaroszewicza, W. A. Maciejowskiego i wielu ziemian litewskich.

Tutaj zostając na kuracji, zmarł roku 1846 Jan Czeczot, zasłużony zbieracz pieśni ludowych znad Niemna i Dźwiny i sam poeta, druh serdeczny Mickiewicza i Zana, a później z Uralu bibliotekarz Adama Chreptowicza w Szczorsach.

W r. 1859 bawił przez lato w Druskiennikach Syrokomla i kilka natchnionych improwizacji tu wypowiedział, a między nimi piękny wiersz na obiedzie danym dla doktora Jana Pileckiego, którego imię związane jest z historią Druskiennik. Trafnie go scharakteryzował Syrokomla słowami, że „wszędzie tu widać jego czynną rękę, poradę jego głowy, natchnienie jego serca”.

Wieczorem, gdy niebo wypogodziło się po burzy, poszliśmy do parku posłuchać orkiestry p. Ebana, który w tym roku zastąpił zesłoroczną Skrobeckiego. Że jednak była to sobota, cały więc taras na ogrodzie spacerowym tak był natłoczony tłumem starozakonnym, że nie mając gdzie usiąść, a czując znużenie dwudniowej, prawie bezsennej podróży, nie mogliśmy długo rozkoszować się darami niezbyt zresztą troskliwej o uszy swoich słuchaczy druskiennickiej Polihymnii. Nocleg obraliśmy w hotelu zwanym Jagmina, który zalecał się osobliwszą strukturą, miał bowiem korpus drewniany bez piętra, ale za to dwa skrzydła murowane i piętrowe.

Nazajutrz była niedziela. Więc rano zmówiwszy pacierz w kościele druskiennickim i pożegnawszy się z pełnym staropolskiej gościnności i serdeczności zacnym doktorem Janem Pileckim, wyprawivszy Wiktora z łódką naprzód Niemnem, ruszyliśmy sami pieszo na poszukiwania krzemienych śladów pobytu przedhistorycznych mieszkańców Litwy.

Na krawędzi wyniosłego (lewego) brzegu Niemna, naprzeciw druskiennickiego spacerowego lasku, napotkałem wydniętą piaszczystą, zasianą okrzoskami krzemienymi, odłupywanymi przy obrabianiu narzędzi w starożytności. Okrzoski takie nadzwyczaj łatwo poznać i odróżnić od przypadkowych kawałków krzemienia lub łupanych przy krzesaniu ognia i wyrabianiu w nowszych czasach skałek do broni palnej. Tylko bowiem przez mozolną i długą wprawę dochodzili starożytni do umiejętności odszczepywania cienkich, długich, blaszkowatych, typowych trzasek. Gdzie tylko napotkałem takie trzaski, tam zwykle znalazły się i szczątki narzędzi krzemienych i czerepy gliniane z odmiennych zupełnie niż dzisiejsze garnków i popielnic. W miejscowości, o której mowa, znalazłem nadzwyczaj subtelnie obrobione trójkątne ostrze od strzały łukowej. W ogóle wszystkie strzały krzemienne będziemy nazywali *bełtami*. Tak bowiem nazywali Polacy swoje strzały żelazne (obsadzone na pręcie drewnianym, zwanym *brzechwą*). Krzemieny bełt druskiennicki przedstawiamy na rysunku<sup>29</sup>. Oprócz tej strzały i innych szczątków narzędzi krzemienych znalazłem także połówkę belemnitu, obrobioną do zawieszenia, czyli noszenia na sobie, zapewne jako ozdobę lub amulet.

<sup>28</sup> p.n. – pod nazwą. [przypis edytorski]

<sup>29</sup> *Krzemieny bełt druskiennicki przedstawiamy na rysunku* – nie uwzględniono rycin z wydania źródłowego. [przypis edytorski]

Gdy zajęty byłem wyszukiwaniem tych ciekawych szczątków z najdalszej przeszłości Litwy, zaczęło mi się bacznie przypatrywać dwóch kąpielowych gości, którzy przechadzając się zabłądzili w to ustronie. Wiadomym jest, że gdy kto coś z ziemi podejmuje, to w człowieku, który na to patrzy z daleka, budzi się wrodzona ciekawość dowiedzenia się, co tamten znalazł? Pewien darwinista próbował nawet wytłumaczyć mi przez analogię, nie bez słuszności, niektóre zwyczaje zwierząt, twierdząc np. że pies dlatego wacha pysk innego psa spotkanego, żeby się dowiedzieć, co tamten jadł? Więc też i owi zaciekawieni jegomości zbliżyli się do mnie z wolna i zapytali, co ja znalazłem na tym jałowym piasku? Nie miałem czasu na rozprawę archeologiczną z nieznanymi, bo Gustaw czekał na mnie już w czajce, która miała nas przewieźć do innej, ciekawszej jeszcze miejscowości. Ograniczyłem się zatem na pokazaniu woreczka pełnego krzemków i czerepów glinianych i w milczeniu szukałem dalej. Starszy jegomość zobaczywszy moje skarby, zmarszczył pogardliwie nos, spojrzął na mnie z politowaniem i odszedł z towarzyszem, wskazując palcem na swoje czoło, a ten wymowny gest nie potrzebował komentarzy, iż mię wziął za wariata.

A jednak ta marna garść skorup poniewieranych przez liczne wieki, dowodziła, że w tym zakątku Litwy mieszkali już ludzie w czasach bardzo, bardzo dawnych, że mieli zwyczaj przyrządzania gliny z tłuczonym granitem, że umieli wypalać garnki, a kształt ich zastosowywali oczywiście do potrzeb swego życia. Ozdoby wytłoczone na czerepie, to była część ich myśli i pojęć etycznych. Bo ręka jest narzędziem ducha ludzkiego, który już w kolebce swojej cywilizacji, w odludnym zakątku puszczy litewskich, przed laty tysiącem lub dwoma tysiącami, pomimo krwawej walki o byt z drapieżnym zwierzem, dzikim sąsiadem, brakiem żelaza, głodem i klimatem, nie zaniedbał wytłoczyć piętno swoich pojęć etycznych nawet na garnku domowym.

Posuwając się w dół rzeki po lewym jej brzegu, minawszy Janopol, napotkałem znowu prawie naprzeciw ujścia Rotniczanki małą wydmy ze szczątkami łupanego krzemienia. Starożytny mieszkaniec tego siedliska celował w wyrobienie wąskich a prostych, o jednym brzegu ostrym krzemków, którymi nakładano podłużnie fugowane ostrza kościanych grotów do dzid i oszczepów. Nie wiedziałbym, do czego mogły służyć znalezione tego rodzaju krzemki, gdybym nie widział pierwiej w bogatym zbiorze wykopalisk uczonego Bolesława Podczaszyńskiego podobnego grotu kościanego, w którego brzegach rowkowanych pozostał jeszcze w jednym miejscu krzemek taki sam jak teraz znalezione. A i grot kościany pochodził znan Niemna.

Dalej na tymże lewym brzegu rzeki, poza wioską Bałtoszyszkami, ciągną się wzdłuż wybrzeża lotne pagórki piaszczyste na przestrzeni około ćwierćmilowej. Była to miejscowość w czasach starożytnych więcej zaludniona niż wszystkie dotąd napotkane. Znalazłem tu bowiem całą ćwierćmilową przestrzeń zasianą okrzeskami krzemienia i mnóstwem szczątków narzędzi i naczyń pierwotnych. Wśród tego wszystkiego znalazło się i kilkadziesiąt dobrze zachowanych drobnych narzędzi krzemiennych rozmaitego kształtu, a więc i przeznaczenia, z których 45 przedstawiam tu w podobieniu<sup>30</sup>.

Jakie były instrumenta, którymi starożytni tak przedziwnie obrabiali powyższe przedmioty, tego dziś na pewno nikt nie wie. W czasach nieznajomości kruszców nie mogły być oczywiście metalowe. Były więc prawdopodobnie także krzemienne. Przed laty kilkunastu pewien kamieniarz w Kopenhadze, zachęcony przez jednego z archeologów duńskich, nauczył się tak wybornie za pomocą tylko krzemienia obrabiać inny krzemień, że w ciągu rozpraw o tym kunszcie na archeologicznym kongresie w Bononii przysposobił dla wszystkich uczestników pewną liczbę nożyków krzemiennych. Przekonali się wówczas wszyscy, że to, co się wydawało bardzo trudne i zagadkowe, przychodziło z łatwością człowiekowi po nabyciu doświadczenia technicznego i wprawy, oraz obeznaniu się z wszystkimi cechami łupliwości krzemienia. Hiszpanie, gdy zdobywali Meksyk, widzieli i opisali jak Aztekowie przygotowywali sobie w podobny sposób noże łupane z obsydianu czyli szkła wulkanicznego, posiadającego łupliwość tego rodzaju, co krzemień.

<sup>30</sup> 45 przedstawiam tu w podobieniu – nie uwzględniono rycin z wydania źródłowego. [przypis edytorski]

W każdym razie życie nie było łatwe w czasach, gdy głównym materiałem na wszelkie narzędzia był krzemień i jak powiada Kraszewski o starożytnej Litwie, gdy walczyć tu trzeba było z naturą otaczającą i zdobywać na niej wszystko: okrycie, jadło, napój, spokój! Walczyć ze zwierzem, walczyć z chłodem, walczyć z wodą, z niedostatkiem wszystkiego, zdobywać nieustannie, bez spoczynku, bo spoczynek wiódł za sobą straszną *Giltinę* – śmierć.

O ćwierć mili poniżej tych najbogatszych miejscowości, jakie znalazłem nad Niemnem w czasów użytku krzemienia, napotkałem inną dość obfitą stację krzemienną, tuż za Gajlunami. I tutaj równie jak pod Bałtoszyszkami, wiatry wywiewały z piasku lub piaskiem zawiewały mnóstwo przedwiecznych okrzkosków krzemiennych. Z liczby znalezionych tu narzędzi przedstawiam cztery<sup>31</sup>, tudzież dwa bełty krzemienne czyli strzały wraz z rysunkiem ich profilów. U pierwszego, nader pięknego okazu, ułamany był trzonek. Drugi podobieństwem swego konturu do listka, przypomina opowiadanie pewnego podróżnika z życia Indian, którzy na wzór do strzał obstalowanych u kowala, przynieśli mu liść jakiejś rośliny. Oprócz powyższych przedmiotów krzemiennych, znalazłem tu także część młotka kamiennego z wywierconym otworem i sporo skorup ze starożytnych naczyń glinianych. Między dzisiejszą wioską Gajlunami a miejscem starożytnych siedlisk znajdowało się równoległe z brzegiem Niemna pasmo dużych kamieni, ugrupowanych tu prawdopodobnie ręką ludzką w odległej przeszłości, lecz w jakim celu, nie wiem. Parę symetryczniejszych grup tych kamieni, może grobów, odrysowałem w moim notatniku.

Człowiek, o ile żył więcej na sposób pierwotny, o tyle więcej wystarczał sam sobie. Wszak jeszcze dotąd w okolicach zapadłych kraju naszego znajdują się wieśniacy, którzy tylko własną ręką budują sobie domy i robią sami wszystkie narzędzia rolnicze, wykręcają skóry na surowiec, tkają płótno i samodział, plotą łapcie itp., prawie niczego nie potrzebując z miast i fabryk. Jakby echem z zamierzchłych czasów była staropolska przestroga, że każdy szlachcic-rycerz musi umieć ukuć sam sobie miecz i podkowę. Tym bardziej więc pojęcie fabryk i rzemiosł było zupełnie obce u ludzi posługujących się krzemieniem w starożytności. Sadyby ludzkie z owej epoki nie były wcale jakimiś rękodzielniami narzędzi krzemiennych, ale tylko siedliskami ludzi, którzy wszędzie, gdzie się zatrzymali, robili sobie własnoręcznie narzędzia z krzemienia, znacząc tym sposobem krzemiennymi okrzkoskami każdy ślad swego pobytu. Toteż gdzie tylko znalazły się takie okrzkoski, tam prawie wszędzie i szczątki narzędzi z tego samego gatunku krzemienia, czerepy z naczyń glinianych itd., bo każdy wszystko to sporządzał przy swoim ognisku, dla własnego użytku.

Jaka przyczyna w tę okolicę ściągnęła większą ludność w owych czasach niż gdzie indziej (sądząc po ilości zabytków) i dlaczego brzeg lewy Niemna miał bez porównania liczniejsze w ogóle siedliska niż prawy, tego nie umiem wyjaśnić, ponieważ oba brzegi posiadają jednakowe warunki fizyczne. Ale i nad Wisłą znalazłem coś podobnego, tylko że tam przeciwnie, brzeg prawy posiadał w czasach użytku krzemienia daleko gęstsze zasiedlenie.

Prawie wszystkie siedliska w owej zamierchłej epoce znajdowały się na piaszczystych pagórkach, w pobliżu wód, gdzie w surowym klimacie podczas zimy zapewne nory ziemne stanowiły możliwie suche i ciepłe mieszkanie, a rybna woda była spiżarnią i podczas lata gościńcem i warownią. W ostrym klimacie, przy niedołęznym budownictwie, mieszkania w ziemiankach w czasie zimy były bezwzględnie koniecznością.

Podczas licznych wędrówek moich po kraju nabrawszy doświadczenia w tego rodzaju poszukiwaniach, odgadywałem często z daleka, gdzie znajdowały się starożytne siedliska, a przybywszy na miejsce, zbierałem takie wióry krzemienne, o których już powiedział uczony angielski Lubbock, że nawet jeden znaleziony jest dla badacza przeszłości tak pewnym dowodem przedhistorycznego pobytu człowieka, jak dla Robinsona Crusoe były wyciśnięte na piasku stopy ludzkie. Związek siedlisk podobnych z wydmiami piaszczystymi, z bliskością rzeki i ilością strzał znalezionych, utwierdza w przekonaniu, że mieszkańcy tych prastarych sadyb nie znali jeszcze

<sup>31</sup> Z liczby znalezionych tu narzędzi przedstawiam cztery (...) – nie uwzględniono rycin z wydania źródłowego. [przypis edytorski]

rolnictwa, ale tylko łowiectwo, rybołówstwo i może pasterstwo. Rozmaitość kształtów i subtelne wykończenie wielu drobnych narzędzi krzemiennych wskazują wszakże, że ci pierwotni mieszkańcy Litwy posiadali już pewną rozmaitość zajęć, czyli potrzeb, oraz przedziwną biegłość w obrabianiu narzędzi, to jest pewną kulturę, nieustępującą w niczym równoczesnym ludom Skandynawii i zachodu Europy.

Duży głaz wychylający się z Niemna, niedaleko Bałtoszyszek, nosi nazwę „niedźwiedzia”. Przypomniało mi to, że i nad Dunajcem, koło Czerwonego Klasztoru, górale nazywają podobne kamienie „niedźwiedziami”. Między Gajlunami i Liskowem, przy zakręcie rzeki, widzimy na lewym brzegu grząskie i pełne zdrojowisk wąwozy, zwane „Bobrowe nory”, a podanie ludu niesie, że miały tu być niegdyś bobrowe gony. Dziś bobrów ani śladu, ale znajdują się jeszcze żółwie, o których mi mówiono, że dochodzą wielkością jarmułki żydowskiej, a przez lud litewski zwane są „warle” lub „raupezie”, ta ostatnia nazwa oznacza także ropuchę.

Zbliżamy się do Liskowa, kędy na stromej nadbrzeżnej górze widać resztki zamku kamiennego pogańskiej Litwy. Po dniu równie skwarnym jak wczorajszy, zaczęło się równie jak wczoraj zbierać na burzę. Ale szczęściem skończyło się pomyślnie tylko na grzmotach i błyskawicach, które malowniczo i efektownie oświetlały granitowe ruiny ostatniej baszty. Te gromy i błyskawice, zdawało się, że były echami ognistych dział krzyżackich, które przed pół tysiącem lat podobno tutaj właśnie po raz pierwszy zagrzały na ziemi litewskiej i napełniły mężne serca obleżonych Litwinów trwogą, a może i zwątpieniem w potęgę bogów litewskich i Peruna, który na gromy krzyżackie nie odpowiedział gromem niebios.

Pod Liskowem wiele niebezpiecznych głazów podwodnych zalega łożysko niemnowe. Mają one swoją nazwę „Liskowskie soły”, ale burząca się nad nimi woda ostrzega z daleka żeglarza, kędy ma swój statek kierować. Wiktor nasz zajęty zażyciem podwójnej porcji tabaki i opowiadaniem o skarbach ukrytych w tajemniczym lochu zamkowym, zagapił się tak fatalnie, że zaledwie zdołaliśmy uniknąć przewrócenia się łódki i bardzo niebezpiecznej kąpieli, a co najgorsza, zatopienia w Niemnie wszystkich mozolnych zdobyczy trzydniowej podróży naszej.

Lisków, w ludowym języku tutejszym „Liszkiawa”, jest wioską z pięknym kościołem, wzniesionym na wyżynie nadniemeńskiej przez oo. dominikanów, którzy byli niegdyś właścicielami Liskowa i usiłowali podnieść tę wioskę do rzędu miasteczek, przez osiedlenie tu żydów, co jednak nie przyniosło pożądanego skutku. Narbutt zaczyna historię Liskowa od roku 1044, dając go we władanie książąt słowiańskich na Grodzie, którzy mieli założyć tu Nowe Grodno, czyli Nowogródek nadniemeński, co na język litewski tłumaczy się: *Naujepille* (*naujas* – nowy i *pillis* – nasyp, gródek). Krzyżacy istotnie, jak to wiemy z Wiganda, nazywali później w tych stronach jakiś zamek nadniemeński Nauenpille. Nic ma jednak stanowczego dowodu, że to był dzisiejszy Lisków, bo nazwa ta ostatnia powstała dopiero za Władysława Jagiełły, gdy król ten nadał włość tutejszą rycerzowi, który się nazywał Lisko Zybinta (Lisso Zybinta).

W czasach zaciętych wojen z Krzyżakami, w wieku XIV książęta litewscy wzniesli tu, na stromej górze nad Niemnem zamek, który mógł być nawet, jak wszystkie stare zamki litewskie, drewniany, ale posiadał kilka baszt okrągłych, wymurowanych z wielkich, dobieranych głazów granitowych, przekładanych warstwami cegły jasnej, a twardej jak kamień. Cztery takie baszty, a zapewne i mur obwodowy, i dębowe palisady składały potężną na owe czasy warownię litewską, nieco podobną do znajdującej się w Lidzie. Tylko że w ostatnich czasach wzięto się w Liskowie energicznie do zniszczenia tej starej pamiątki. Gdy w Lidzie jeszcze nie tak dawno mieściło się w jednej z wieżyc archiwum akt dawnych, to tutaj dominikanie, wznosząc na początku XVIII wieku kościół i klasztor, użyli podobno do tych gmachów granitu z baszt zamkowych.

Wigand powiada, iż roku 1380 przednie straże krzyżackie wymordowały pod zamkiem Nauenpille wielu mieszkańców okolicznych, po czym gdy przybyło wojsko z działami, przypuszczono nazajutrz szturm do twierdzy litewskiej. Wtedy poganie, którzy pierwszy raz ogniste pociski usłyszeli, przejęci trwogą, poddali się w liczbie trzech tysięcy. Dziś muru obwodowego nie ma już ani śladu;

po trzech basztach okrągłych pozostały tylko ślady fundamentów, a z czwartej stoi rozwalina na parę sążni wysoka. U jej podstawy, od strony Niemna jest otwór idący w kierunku poziomym, do którego jednak tylko wpełznąć by można zaledwie. Baszty zbudowane były na pochyłej wyżynie góry, o 15 do 25 kroków jedna od drugiej, każda zaś miała średnicy około trzech sążni i mur na kilka stóp gruby.

Lud nazywa zamczysko liszkowski *pilakalnis, pilkalnas*, co po litewsku znaczy dosłownie: zamkowa góra (*pillis* – zamek i *kalnas* – góra). Basztę zaś pozostałą zowie: *milzios gintuwe* – olbrzymów baszta lub *muras milžinu* – mur olbrzymów, a nawet w przekręceniu *muras murinu* – mur murzynów. Podanie o olbrzymach powstać musiało skutkiem nagromadzenia ogromnych głazów do budowy zamku, na wierzchołku stromej góry, co w mniemaniu ludu mogło być tylko dziełem narodu olbrzymów. Otwór w baszcie, według mniemania miejscowego, prowadzi do podziemi w górze zamkowej, w których mają znajdować się wielkie skarby strzeżone przez szatana. Głuche podania błakają się jeszcze o krwawych bojach z Krzyżakami i o paleniu na górze ofiar bogom pogańskim na ołtarzu zwanym *žinicza*. Oryle płynąc Niemnem, ukazują sobie basztę liszkowską mówiąc, że była niegdyś więzieniem brata i siostry. Cały prawie wierzchołek góry przy baszcie zarzucony jest wielkimi głazami, które tu i owdzie zdają się być ułożone z pewną symetrią, coś jakby w rodzaju duńskich dolmenów i pokrywają może istotnie groby, które lud tutejszy uważa za groby Tatarów.

Do góry zamkowej przytyka inna, mniej obszerna i wysoka, z widocznymi dotąd fundamentami pierwotnego kościoła liszkowskiego, zbudowanego w wieku XV przy zamku, gdzie niedawno stała jeszcze tu ostatnia starożytna lipa. Dziś już zaległo pustkowie. Dalej za doliną i rzeczką, płynącą z jeziora liszkowskiego do Niemna, podnosi się znowu nadbrzeżna wyżyna, z panującym nad okolicą kościołem, naśladującym w ogólnych konturach bazylikę św. Piotra. Przy świątyni stoi klasztor poddominikański z obszernym sadem owocowym, łączącym się w przedłużeniu z borem sosnowym nad Niemnem i gajem grusz leśnych, pokrywającym stoki góry ku rzece. Dominikanie tutejsi, gdy za rządów pruskich (r. 1796) zabrano im dobra, rozjechali się do innych klasztorów. Od roku 1836 pomieszczony tu został dom dla księży demerytów z Królestwa, który roku 1849 przeniesiony został na Łysą Górę. W kościele zasługują na uwagę cztery malowidła *al fresco*, wyobrażające wszystkie stany byłej Rzeczypospolitej, oddające się pod opiekę Trójcy Św. i Bogarodzicy. Niezależnie od kościoła dominikańskiego Liszków posiadał do r. 1813 drugi oddzielny, parafialny, który jako drewniany i stary rozebrany został.

Szukając noclegu weszliśmy do karczmy liszkowskiej. Było już ciemno. W typowym „pajaku” mosiężnym, u środkowej belki zawieszonym, tliła się łojowa „smarkatka” z knotem nigdy nieobjaśnianym. Na pierwszy rzut oka ściany zamożnego arendarza, przybrane rzędami cynowych talerzy i półmisków, blaszanych łyżek i durszlaków, miedzianych saganów, konwi i pogiętych samowarów, w mroku wieczornym robiły wrażenie skarbcza średniowiecznego, pełnego tarcz, pater, buzdyganów i kirysów. W skarbcu tym jednak panowała tak samo jak w Sieniewicach skoncentrowana atmosfera: anyżu, fuzlu, czosnku i tytoniu. Kilku kmieci, Cyganów i Żydów, puszczając kłęby szkaradnego dymu z porcelanowych „lulek”, otaczało baterię flaszek i półkwaterek i gwarzyło trzema językami: litewskim, żydowskim i cygańskim, które po naszym przybyciu zamieniły się na jeden słowiański tj. polski i nawet dość czysty.

Począłem gwarzyć z wieśniakami, ale arendarz powypychał ich, pomimo mojej protestacji, do jakiejś komórki (którą nazywali oni po litewsku „kamara”), nie zapomniawszy zanieść za nimi półgarncówki. Ludzie ci powiedziawszy nam dobranoc z poczciwą życzliwością, jaką wszędzie spotykaliśmy u ludu nadniemeńskiego, zostawili nas w szynkowni. Zażądaliśmy wówczas wskazania jakiej szopy na nocleg. Jakoż niebawem cała rodzina arendarza i Cyganie nieśli za nami nasze walizki i puzderka (zadziwiające ciężarem i metalicznym brzękiem krzemieni) oraz latarnię bez szyb, do oddalonej stodoły, w której nie znaleźliśmy wprawdzie słomy ani siana, bo był przednówek, ale za to w zasiekach miękką warstwę siczki, naciętej ze zboża i barłogu przez myszy podczas zimy.

Długie u stropu opony starożytnych pajęczyn wyglądały przy słabym świetle latarni jak pozawieszane u sklepień świątyni strzępy bojowych sztandarów i starych gobelinów. Ponieważ

strzecha była mocno dziurawa, mieliśmy więc w sklepieniach naszej komnaty plafony z gwiazd prawdziwych, słońc nieznanymi i dróg mlecznych. Budynek rozpatrzony pozytywnie był starym gruchotem i miał „wierzeje” jeszcze na drewnianych „biegunach”, które skrzypiąc potężnie, nie domykały się wcale. Jakby dla bezpieczeństwa jednak i obrony znaleźliśmy wiszące dwa cepy, które położyliśmy przy sobie. Kształtem nie różniły się wcale cepy litewskie od podlaskich znad Narwi, zarówno ich części drewniane „dzierzaki”, „bijaki”, jak i skórzane „uwiązaki”, „gązewki”.

U stóp wzgórza, na którym stała nasza stodoła, Mazurkiewicz wyciągnął łódkę na brzeg, aby oryle jej nie ukradli i przewróciwszy dnem do góry, aby mu w razie deszczu za namiot służyła, spał pod nią jak zabity. I ja zasnąłem wkrótce twardo, a po chwili widziałem się już w jakiejś świątyni, pełnej litewskich bóstw pogańskich, do której przez skrzypiące wrota zakradali się Cyganie, zwabieni naszymi walizkami. Obudziłem się, nasłuchiwałem, co to będzie? Skrzypienie drzwi powtórzyło się znowu, pod ścianą słychać było od czasu do czasu jakieś drapanie i mruczenie. Jeden tylko Gustaw chrapał regularnie i bez przerwy. Zapaliłem latarnię i obszedłem z nią wewnątrz stodołę. Cyganów nigdzie nie było, wiatr skrzypiał wrotami, drapały się pod ścianą szczury albo kuny, mruczała w stajence przy stodole krowa. Pod niebem litewskim wypadało powierzyć się pod skrzydła bogini twardego snu *Brekszcie* i prosić bogini czuwania *Buddintoi*, aby odpędzała od nas złośliwe duchy *Welnasa* i *Pagibielsa*. Wszystko spełniło się najpomyślniej, pomimo że profesor Antoni Mierzyński uczenie dowiódł, że cały ten Olimp litewski jest bzdurstwem zmyślonym przez bazarzy już po zaprowadzeniu wiary Chrystusowej na Litwie.

Obudził mnie złoty promień wschodzącego słońca, który przez szparę w ścianie powoływał wędrowców do pracy. Snu jakoś potrzebowałem niewiele, pomimo dość znojnej podróży. Odbierała mi go ciągle gorączkowa żądza ujżenia coraz nowych widoków kraju, pamiątek, ludzi i odszukiwanie coraz nowych a ciekawszych śladów bytu ludzkiego z najdalszej, nieznannej przeszłości tej ziemi.

Wybiegiem powitać cudny ranek i piękny ze wzgórza widok na Niemen. Wiktor spuszczał łódkę na wodę i pozdrowiał oryli, unoszonych bystrą wodą na tratwach do Królewca i Kłajpedy. Poszliśmy jeszcze na górę zamkową, gdzie znowu Gustaw usiadł po turecku, a ja położywszy tekę na jego plecach, naszkicowałem porywający widok na głęboką dolinę Niemna i Liskowa, na okazały kościół, las, wzgórza i pagórki. Taki widok byłby i w innych krajach nie do wzgardzenia. Niestety, nie było jeszcze wówczas ulepszonych aparatów fotograficznych do podróży, a ołówek mój jakże był marnym i nieudolnym w odtwarzaniu piękna przyrody. Zdjąwszy plan baszt i głązów grobowych, ruszyliśmy dalej wodnym szlakiem. Poniżej Liskowa okolica więcej płaska i smutna. Mijamy rapę Opalanę i w pobliżu poddominikańskiej wsi Zejmów pionową nad Niemnem ścianę brzegu z tysiącami gniazd grzebulek. Cała chmura tych ptaszek z krzykliwym świergotem, łączącym w sobie głos trwogi macierzyńskiej i szyderstwa z nieprzyjaciela, otaczał w powietrzu jastrzębia, którego nazwał nasz oryl *jozikiem*, odróżniając go od *szulaka*. Zaniepokojone ptaszyny zdawały się odstraszać od gniazdek swoich drapieżnego wroga, który jednak mało zwracał uwagi na sprawianą mu kocią muzykę przez ten zwinny drobiazg skrzydlaty.

W niektórych wioskach lud z powodu ubogich pastwisk chowa więcej kóz niż bydła i owiec, czego nigdzie na Mazowszu i Podlasiu nie widziałem. Pola w tej okolicy są piaszczyste, ale na stokach wybrzeży, gdzie głęboki jar Niemna przecina warstwy gliny i iłu, tam widzieć można grząskie, spadziste łączki z bujną trawą, a w niektórych miejscach małe tarasy z grzędami warzywa lub zboża, tak pochyłe, że tylko ręką i rydłem uprawiane być mogą.

Wszędzie spotykamy dużo spławianego z Litwy do Prus drzewa budulcowego, mianowicie świerków. Kłody świerkowe obnażone są z kory z wyjątkiem młodszego końca, w starszym zaś końcu czyli odziomie, mają zwykle wyciosane ucho. Dębu i sosny płynie bardzo mało. Około dwadzieścia kłód, czyli kłoców bywa zbitych obok siebie w rodzaj przęsła, a trzy lub cztery takie przęsła uwiązane jedno za drugim zowią się na Niemnie „*kozłem*”, (na Narwi „*pasem*”). *Kozieł* w spławie drzewa na Niemnie jest rodzajem jednostki zbiorowej. Dwa *kozły* stanowią  *płyt*. Na *kozieł* trzeba dwóch, a na  *płyt* czterech orylów, po jednym lub po dwóch w każdym końcu, którzy tratwy niesione bystrym

prądem kierują za pomocą *drygawek*, a mają także w zapasie *prysy*, czyli kilkosążniowe żerdzie, tyki (zwane na Narwi *laskami*) do odpychania od lądu i dna służące.

Oryle na płytach i kozłach mają niskie, długie budy z kory świerkowej, a przed nimi, na płaskich kamieniach i darni ogniska do warzenia strawy. Przy większej ilości płytów znajduje się na jednym z nich *skarbówka*, czyli domek z desek, w którym mieszka przez czas spławu *pisarz* kupca drzewnego, będący zarazem płatnikiem i dostawcą dla orylów *gorzałki* i *legumin* (czyli żywności), a mianowicie krup i mąki. Oryle z Małej Rusi pozdrawiają ludzi stojących na brzegu zwykle słowami: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”, ale siebie spotykają najczęściej jakimś uszczypliwym dowcipem, w czym nasz Wiktor, jako stary oryl, celował. Obsiadłszy dokoła ognisko, pałą w porcelanowych niemieckich „lulkach” machorkę, zatruwającą wstrętnym fetorem świeżość nadniemeńskiej doliny. Mój Boże, pomyślałem sobie, czemuż zamiast płodzenia obrzydliwego dymu, nie brzmią ich usta jaką dawną, melodyjną lub wesołą piosnką, którą częściej można usłyszeć u flisów na Wiśle. Wszak w stronach, z których płyną ci oryle, tyle pięknych pieśni zebrał Zienkiewicz i Czeczot. Czyż taki winien być wpływ cywilizacji, aby lud zapominał pieśni praojców, a w zamian uczył się grać w karty i palić drajcap. Czyż ludzie, którzy mają się za ucywilizowanych nie powinni obmyślać środków do przeciwdziałania podobnie wstrętnym przemianom zamiast sami dawać zły przykład z góry własnymi nałogami.

Naprzeciw Ulczyc, będących „okolicą” czy „zaściankiem” zagrodowej szlachty, leżącym w dość pięknym położeniu, minęliśmy rapę *Bojarkę*, a dalej inną zwaną *Sokoły*. W samo skwarne południe przybyliśmy do Merecza. Przy ujściu sporej rzeki Mereczanki do Niemna wznosi się kolista stroma góra, podobna do potężnego kopca ze ściętym wierzchołkiem, która dźwigała niegdyś na swych barkach stary zamek litewski, znany już Krzyżakom w r. 1377 pod nazwą Merkenpille. Książęta i królowie Litwy i Polski radzi przebywali w Mereczu, zabawiając się łowami w okolicznych puszczech pełnych grubego zwierzka, a przy tym załatwiając tu sprawy krajowe. Roku 1377 Władysław Jagiełło tu nadał dla Wilna nowe prawa miejskie i rozliczne dla mieszczan swobody; tu r. 1418 obchodził uroczyste święta Bożego Narodzenia i tutaj we trzy lata później przyjmował posłów czeskich, proszących go usilnie, aby przyjął koronę Przemysławów lub nakłonił do tego brata swego stryjecznego Witolda. Jak wiadomo, obaj potężni władcy po naradzeniu się z sejmem, odmówili stanowczo przyjęcia obcej korony. Wielki trakt wiodący z Warszawy do Wilna ożywiał Merecz stający się na przemian widownią uciech lub żałoby. Król Władysław IV, zaniemógłszy wskutek wielkiego utrudzenia na łowach, zmarł w Mereczu 20 maja 1648 roku, a w nim kraj stracił jednego z wybitniejszych królów.

Licha miłościna przedstawia teraz widok ponury; zbudowana w okolicy ubogiej, na piaszczystych bezdrzewnych wzgórzach. Zatrzymałem się na przeciwległym Mereczowi brzegu i odrysowałem położoną za Niemnem górę zamkową, prom na Mereczance przy jej ujściu, słomiane dachy miasteczka, i panujący nad nim gotycki czerwony kościół. Jakby na urągowisko historycznych wspomnień o wielkich puszczech i łowach, miałem przed sobą widok charakterystyczny. Wszyscy Żydzi mereccy używając tłumnie kąpieli ze zgiełkiem i wrzawą spychali do Niemna cienką sośninę, powiazaną do spławu w kilkowarstwowe pomosty. Tam zaś gdzie dawniej szumiały niebotyczne maszty, a tysiącletnie dęby ocieniały uznojone czoła monarchów, dziś powracały z pustkowiec i wyrębów leśnych głodne kozy mereckie.

Na wstępie do Merecza zostaliśmy posądzeni o przemykanie wódki, istniała bowiem jeszcze granica akcyzna między Królestwem i Cesarstwem.

W głębokim piasku na ulicach Merecza grzęzną wozy, a jedyny łoskot, jaki dawał się słyszeć, pochodził od strony b. klasztoru, który teraz rozbierano na cegłę zakupioną i spławianą na batakach do Rumbowicz. Dość piękny, ale zaniedbany kościół parafialny, fundacji Jagiełły, mogliśmy obejrzeć tylko zewnątrz. W staroświeckim ratuszu, otoczonym dokoła pustymi kramnicami, pomieszczona została cerkiew. Wszyscy pokazują tu dom, już tylko w części mieszkalny, w którym zamknął powieki Władysław IV, a później kwaterował Piotr Wielki, i górę, na której stał zamek „królowej Bony”.

Nawet grzyby z tego zamku nie zostały, znaleziono tylko w niedawnych czasach kulę kamienną, 80 funtów ważącą i jakąś belkę żelazną. Przed kilkunastu także laty w podmywanym brzegu Mereczanki znaleziono, w pobliżu góry zamkowej, garnek z rzadkimi monetami Zygmunta Augusta, które nabył mieszkający wówczas w okolicy Merecza zbieracz zabytków przeszłości p. Moraczewski.

Zaopatrzywszy naszą spiżarnię w olbrzymi bochen razowca, ruszyliśmy dalej żeglarskim szlakiem Jagiełły.

Na półmilojowej przestrzeni od miasteczka, w dół rzeki, znajdują się trzy rapy: *Moreczanka*, *Krawiec* i *Nożny* (nożyce), a nieco dalej czwarta *Szewiec*. Po drodze mijamy baty ciągnięte przez ludzi w górę Niemna. Wybrzeża pokryte pięknym świerkowym i sosnowym borem, zaczynają piętrzyć się i przedstawiać malownicze widoki. Poniżej Niecios, w lasach iglastych, na obu brzegach, coraz więcej drzew liściastych. Dęby, brzozy, olchy, świerki i leszczyna, tworzące na stokach dwa amfiteatry w ramach błękitu nieba od góry, a szmaragdowego zwierciadła wody od dołu, tworzą dziwnie miłą dla oka grę leśnego kolorytu. Przy jednym z zakrętów Niemna, na stokach lewego brzegu, mijamy tak urocze ustronie ze spadzią, bujną łąką wśród ciemnego boru świerkowego, że aż żal brał serdeczny, iż nie było na łódce naszej dobrego krajobrazisty, który uwieczniłby na płótnie ten typowy widok nadniemeński. Takich widoków było tu dawniej dużo, które przez wycinanie lasów znikają zupełnie. Uczułem też pewien żal do naszych malarzy. Wszak z krajobrazów, które jeszcze spotykamy, można by utworzyć wspaniałe album, ale za lat kilkanaście już będzie i na to za późno, bo przez wycięcie starych drzew i rozszerzenie się pług i motyki, wybrzeża Niemna stracą w zupełności swój pierwotny charakter i urok. Tylko więc oryle i pisarze kupców leśnych napawali się tymi widokami, wonią łąk i gajów, śpiewem słowików i kryształowym nektarem zimnych krynic.

Choć i teraz oglądamy już tylko szczątki historycznych borów mereckich, ale jak w strzępach można jeszcze poznać makatę, tak i z tych resztek można odtworzyć sobie urok tych puszczy, których niepokalaną wonią spieszyli oddychać monarchowie, gdy mityczna w pojęciach ludu „morowa dziewica” powiała chustą żalobną ponad bogate grody i ludne okolice. Łowy ówczesne opisywali poeci polscy wierszem klasyków rzymskich, wzywając chłodny wietrzyk, aby w skwarne południe orzeźwił uznojonego Władysława IV, nakazując drzewom, aby ocieniały czoło króla. Powtarzając za Syrokomlą słowa z czwartej *Zabawy leśnej* Sarbiewskiego, zdawało mi się, że jeszcze tu słyszę, jak w głębi boru:

„Wre szczerza ochota,  
Od szczekania brytanów rozlega się puszcza,  
Usta – spaliła spiekota —  
.....  
Gdy legną myśliwi  
Na trawę zieloną,  
Niech wiatr ich ożywi  
Niech kwiaty owioną” itd.

Mijamy wieś Soleniki i piękny bór na lewym brzegu, a dalej w zielonej kotlinie, w wieńcu gajów, nader malowniczy dworek, który Wiktor nazwał Olchówką.

Pierwotne nazwy osad i wiosek powstawały najczęściej od nazw ludzi, którzy je założyli. Osada np. którą założył Czyż, nazwana została Czyżewo, od Szepieta – Szepietowo. Później, gdy nazwy te już zostały utrwalone, powstawały od nich nazwiska rodów, które były ich dziedzicami np. Czyżewskich, Szepietowskich. Oryle niemieńscy mają teraz zwyczaj odwrotny tworzenia w swoim flisackim języku nazw folwarków od ich posiadaczy. I tak Wiktor pokazał nam w tej okolicy folwarki: Krukowski i Jacuński, które zapewne inne mają nazwy rzeczywiste, ale właściciele ich nazywali się Krukowski i Jacuński.

Mijając Soleniki i Mizańce usłyszeliśmy za borem dalekie grzmoty. Parność i cisza zapowiadały znowu burzę. Do Kryksztan, w których zamierzaliśmy nocować, była jeszcze mila drogi. Wzięliśmy się wszyscy do wiosł, bo szum boru zwiastował nadciągającą szybko nawałnicę, a tu Niemen rozlewając się szerzej płynie powolniej. Gdy wielkie krople deszczu zaczęły z rzadka padać na wodę, przewoźnik nasz doradzał schronić się przed burzą pod gęste drzewo, dowodząc, że najwięcej gromów uderza w koryto rzeki. My znowu uważaliśmy drzewa za niebezpieczne schronienia i postanowiliśmy przetrwać burzę na łódce. Deszcz siekł coraz gęstszy po naszych burkach, które przypominały nam starą przypowieść Rysińskiego:

Gdy jedziesz w drogę, ano piecze słońce,  
Nie chroń się dla dżdża wziąć sobie opończę.

Wkrótce całe niebo pokryło się tumanami chmur, które niby szwadrony szarżującej na nieprzyjaciela konnicy, pędziły groźnie ciskając pod swe stopy, na padół ziemski piorunami i przypominając *Fragment Syrokomli*:

„Wtem na niebie straszliwa zerwała się burza,  
Wicher spod czarnej chmury gwiznął rozhukany,  
Szczerbiała wodę Niemna poskręcał w bałwany  
Co pieniać się i kipiąc piersią nienawistną,  
Łódź to wzbiją do góry, to w głębinę cisną.  
Przerażeni flisacy nuż walczyć z przemocą...” itd.

Dzięki wyniosłym brzegom od strony wiatru, mieliśmy nadzieję, że płynąc pod ich zasłoną, nie oddamy niemeńskim Dugnom i Ondynom naszych skarbów krzemienych na pastwę. Była tylko obawa, aby fala nie uniosła nas na kipiący bałwanami środek Niemna, bo tam nie byłoby ratunku dla naszej czajki. Należało więc zrzucić z siebie przemokłą burkę i pracować energicznie wiosłami lub wylewać wodę, która z potężnej ulewy gromadziła się szybko w łódce. Wiktor ukazując nam często pioruny uderzające w środek Niemna, żegnał się i tryumfował, że żaden z nich nie uderzył w drzewa nadbrzeżne. Flis nasz odmawiał przy tym cichy pacierz, który był dla niego dobrodziejstwem, bo w chwili krytycznej dawał mu nieoceniony spokój, zimną krew, dobrą nadzieję i pewność ręki. Ja, modliłbym się także, gdyby nie to, że cała natura przedstawiała w tej chwili pewną majestatyczność kataklizmu i widok, wobec którego na dalszy plan schodziła egoistyczna obawa o całość własnej skóry. Istotnie kąpiel nasza była wspaniałą wśród nieprzerwanego grzmotu piorunów, który dawni Litwini nazywali gędzką Peruna, mawiając podczas gromów: „Perkunis grauja” lub po żmudzku: „graudze Diewartis”.

Po burzy zajaśniały, na niebie przed nami dwa olbrzymie, siedmiobarwne łuki wspaniałej tęczy, niby brama tryumfalna i ukazał się jaskrawy zachód słońca. Wiktor opowiadał z głęboką wiarą, że tęcza zawsze jeden koniec swego łuku ma gdzieś w rzece, którym jak trąba pije wodę w obłoki razem z rybami, i że po zniknięciu tęczy ryby te spadają na pola, i znajdowane są na polach przez ludzi.

Poniżej wsi Szłapików mijamy na stokach jaru niemnowego piękne dąbrowy, brzozowe gaje, olszniaki i łączki między nimi położone. Tu spotkaliśmy płyty „na haku”. Oryle, warząc sobie wieczkę, oczekiwali pomocy towarzyszków. Podług starego prawa zwyczajowego, oryle nadpływający muszą przyjść zawsze z pomocą tym, których spotkała przygoda. Nie przeszkadza to zwykłemu u nich żartowaniu sobie z cudzej biedy. Wiktor np. jakby nie domyślając się powodu zatrzymania traw, rzekł do spotkanych z udaną wybornie dobroduszością, iż musieli szczęśliwie płynąć, gdy tak wcześnie wieczkują? Oryle odpowiedzieli mu życzeniem, aby zawsze taką wieczkę jadał. Jakoż po chwili, potężnym zagrzmieli śmiechem, gdy szybko pędzona czajka nasza, przez zapatrzonego w stronę traw Wiktora, tak nagle wsparła się i osiadła na podwodnej ławie piasku,

żeśmy wszyscy o mało nie uderzyli głowami o dno łódki. Wiktor zaklął, będąc najmocniej przekonany, że to oryle, mszcząc się za jego żarty, rzucili urok.

Mazurkiewicz był już od czterech dni przedmiotem moich studiów etnograficznych i psychologicznych. Życie flisackie wywarło na nim wpływ niemały. Był odważny, małowówny, a przy spotkaniu z obcymi jowialny. Umiejąc z dziwną naturalnością prostaczka udawać nieświadomość, był tak zręczny pod tym względem, że ludzie łatwowierni, z których postanowił sobie zażartować, bądź litowali się nad nim dobrodusznie, bądź starali się objaśniać nieświadomego życzliwie. Pewna Żydówka, pomimo całego swego sprytu, rzekła przy nas do innej w swym żargonie, że nie może poznać, czy ten człowiek jest rzeczywiście głupi, czy taki mądry? Istotnie Wiktor miał zdolności do udawania tak wielkie, że gdyby nie był nieokrzesany i szczerze religijnym wieśniakiem, to z pewnością zostałby niepospolitym oszustem. Tylko głęboka jego wiara i pobożność sprawiała, że był gruntownie poczciwym i moralnym, a kłamał jedynie w celach żartobliwych. „Zapisany do wstrzemięźliwości”, wódki od lat dziesięciu w ustach nie miał. W mowie jego było pełno archaizmów i fonetyzmów staropolskich. Wymawiał pewne wyrazy bez dzisiejszej wyrzutni samogłosek, która ujęła polszczyźnie niemało pierwotnej śpiewności. Nie mówił np: przebrnie ale „przebrynie”, nie zielsko ale „zielisko”. W opowiadaniach swoich używał nieraz zwrotów jędrnych lub poetycznych i przytaczał rozmaite stare przysłowia: „Na wodzie jak na wojnie” – „Pan Bóg zmoczy, Pan Bóg wysuszy” – „Bez wiosła na czołno nie siadaj” itd. Zapisując w moim notatniku podróznym właściwości mowy naszego flisa, zadawałem sobie mimowolnie obiektywne pytanie: kto jest prawowitszym i miłszym synem dla tej ziemi? czy człowiek, który mówi tak, jak mówili jego dziadowie, a jeżeli nie mówi poprawnie, to tylko dlatego, że nikt nie uczył go gramatyki – czy też są ci ludzie, którzy uczyli się gramatyki, a jednak tak często nie mówią poprawnie językiem swym ojczystym lub skazili go akcentem cudzoziemskim i używają w towarzystwie mowy francuskiej. Oczywiście prosta logika i sprawiedliwość dawała odpowiedź, że prawowitszym synem tej ziemi jest syn pierwszy.

Tu nasuwały mi się ogólne myśli nad oświatą ludu, tak błędnie przez wielu pojmowaną, oświatą, która wtedy staje się tylko dobrodziejstwem ludzkości, jeżeli rozwija w warstwach ciemnych: moralność, miłość chrześcijańską, pracowitość i poszanowanie cudzej własności, uczucia ludzkie, rodzinne i szlachetne, poszanowanie starszych, – która nauczy syna być dla rodziców dobrym synem; rzemieślnika, być sumiennym rękodzielnikiem; sługę i robotnika – być rzetelnym i życzliwym, dla chlebobdawcy pracownikiem. Prawdziwa chrześcijańska oświata mas ludowych jest zbawienną, bo przez zamiłowanie do uszlachetniającej każdego pracy, przywiązuje człowieka do pług i warsztatu, a oderwać może od zajęć powszednich tylko ludzi wyższych zdolności, powołując ich do szerszej pracy społecznej.

Wieś Kryksztany, do której przybyliśmy dziś na nocleg, nazwę taką nosi podobno na pamiątkę chrztu pogan okolicznych za Władysława Jagiełły, chrzcielnica bowiem zowie się po litewsku podług Szyrwida *kryksztinicia*, a podług Połujańskiego *Kryksztienej*. W karczmie zastaliśmy wielu włościan, Żydków i jakiegoś ekonoma. Prawie wszyscy byli przemokli do nitki jak i my od ulewy, i suszyli się przy wielkim ognisku. Opowiadano o niedawnym pożarze Wiejsiej (w pow. sejneńskim), które były dawniej handlowym miasteczkiem, a dzisiaj są tylko osadą rolniczą. Ponieważ okolice Sejn, Łozdziej i Serej nie posiadały wcale dobrych komunikacji, ci więc, którzy uważali nas za inżynierów zwiastujących parową żeglugę na Niemnie, okazali nam wielką życzliwość i poważanie. Włościanie wątpili tylko, czy Niemen może być oczyszczony z *rap*, jako dzieła ręki szatańskiej. Inni znowu mieli nas za kupców i berlinkarzy, a jeden, który widział moje poszukiwania, uważał mnie za medyka i aptekarza zarazem, zbierającego kamyki i korzonki na lekarstwa. Wszyscy kręcili tylko podejrzliwie głową, dostrzegając stare skorupy, obwijane przeze mnie w papier, jakby domyślali się w tym czegoś nieczystego.

Gdy gospoda wyludniła się, a ku memu zbudowaniu, wszyscy opuścili ją trzeźwi, bo prawie nikt nie pił wódki, odrysowałem jej wnętrze i niektóre sprzęty. Na stole stała owalna z brzozonej

kory tabakiera, zapomniana przez ekonoma, który wszystkich w karczmie gościnnie i ciągle z niej częstował. Na ławie leżała karbowana, brzozowa maglownica z wałkiem, taka sama jakiej używają na Podlasiu. Na kominie i policach stały gliniane garnki, pękate, bez uch, z małymi wrębami, zbliżone kształtem do urn mazowieckich. Siana ani słomy arendarz nie posiadał, więc na wąskiej ławie, gdzie siedziałem, zasnąłem po trudach dnia dość smacznie, pocieszając się nadzieją, że do rana wyschnie na mnie odzież przemokła.

Świtał piękny poranek, gdy poszliśmy obejrzyć stojące przy brzegu wiciny i baty, na które ładowano owies, dostarczany przez kupców z Serej do Grodna. Zdaje się, że wiciny muszą być znane na Niemnie od tak dawna, jak i handel litewski. Wspomina już o nich Strykowski, a zapewne dzisiejsze i z wieku XVI mało się różniły od siebie. Wiciny są większe *od* wiślanych *berlinek*, szersze, z bokami więcej pochyłymi, mniej ozdabiane, biorą ładunku 800 beczek litewskich zboża, czyli do 2600 korcy warszawskich, gdy baty tylko czwartą część tego. Budowane są wszystkie w górze Niemna, gdzie w Swierzniu, Stołpcach i Bereźnej są lub były ich warsztaty. Obecnie zaczynają wychodzić z użycia, bo z powodu swej wielkości mniej są praktyczne od batów. Zmiana ta musi mieć łączność ze stanem wody, która obecnie skutkiem trzebieży lasów opada niżej w suche lata niż dawniej, gdy cały kraj był leśnym.

Wicina przykryta jest ruchomym dachem z desek zdejmowanych częściowo przy ładowaniu towaru, a mającym w połowie długości poprzeczny otwór zwany *zjez*, którym wylewają szuflami naciekającą do statku wodę. Na przodzie wiciny jest mieszkanie szafarza (po rusku *szafara*), czyli pisarza, zwane szafarnią, gdzie mieści się także kuchnia dla ludzi i piece do chleba. Na batach są także szafarnie, ale już bez *piekarników*. Przodowy koniec wiciny, gdzie skład lin, zowie się *sztabą*, a tylni, gdzie rudel, *rupą*. Maszt przywiązuje się do słupa zwanego *chłopcem*, a wielki drąg żaglowy nazywa się *rajem*, długie zaś wiosła zbliżone nieco kształtem do drygawek to *opaczyny*. Cienkie liny dla niechwiejności masztu, łączące jego wierzchołek z krawędziami statku, zowią się *stachje*. Oprócz nich zaopatrzona jest każda wicina i bat w długie dwie liny, z których grubsza zowie się *barbarą*, cieńsza *tralówką*. Za tralówką uwiązaną do górnej części masztu, ciągną statek w górę rzeki tj. pod wodę, najęci do tego *wicinnicy*, którzy idą brzegami. Gdy wiatr pomyślny, dopomaga im żagiel. Za barbarę przywiązuje się statek w przystani lub ściąga z mielizny, czyli haku. Gdy ściągnięcie to nie idzie łatwo, wówczas wbijają dwa paliki i zakładają „*koziół*”, czyli walec z kolbami (podobny do używanego przy nawracaniu wiatraków) i kręcą „*koziół*”, nawijając na niego *barbarę*, uczepioną do statku. Gdy i to nie pomaga, następuje *lichtuga*, czyli przeładowanie ciężaru na mniejszy statek, *lichtaniec*. Załogę na wicinie składa kilkunastu, a na bacie kilku ludzi, między którymi starszym jest *sternik*. Do załogi nie liczą się wicinnicy, czyli *mołojcy*, najęci do holowania statku pod wodę. Do batu potrzeba mołojców 10–15, do wiciny 20–30. Każdy z nich w czasie pochodu ma przez jedno ramię założoną z szerokiej parcianej taśmy *lamkę*, rodzaj szlei, uwiązanej na *sznurze* do *tralówki*. Idąc *gęsięgo* (zwykle lewym brzegiem Niemna), podpierają się *wałkownikami* (długimi kijami). Pierwszy na przodzie wicinnik zowie się *korol*, drugi z kolei *marszałek*, trzeci *drużko*, jak na weselu. W letni upał jest to ciężka praca dla idących boso po żwirowych brzegach. Wicinnik pobiera za nią najmniej 45 kop. dziennie, a goniąc za tym zarobkiem, kilka tysięcy ludzi corocznie nad Niemnem odrywa się od pracy rolniczej.

Po wschodzie słońca opuściliśmy Kryksztany, rozpoczynając piąty dzień naszej podróży doliną Niemna. Na polach powiewają fale bujnego żyta. O pół mili poniżej Kryksztan napotykamy znowu ślady obrabianego krzemienia w czasach przedhistorycznych. O ćwierć mili od Niemna, na gruntach wsi Racowszczyzny znajduje się w tej okolicy góra zamkowa zwana *Pilokalnie*, ale zboczyć do niej nie mogliśmy. W okolicy wsi Bałkosadzie napotykamy na lewym brzegu źródło wody trochę słonej, bardzo zimnej, ale niesmacznej, z zielonawym osadem, buchające silnym strumieniem z otworu pod wzgórzem nadbrzeżnym. Oryle utrzymują, że do tego źródła zlatują się gołębie z okolicy i od nich dali mu nazwę *holubowa woda*. Gdy żałowałam, że nie było gąsiorka dla nabrania tej wody do rozbioru chemicznego, Wiktor ofiarował mi na ten cel swoją flaszkę, która mu towarzyszyła od lat wielu z tabaką. Wzięliśmy się wszyscy do jej dezynfekcji za pomocą piasku i gałęzi wewnątrz i zewnątrz.

Po półgodzinnej pracy, gdy flaszka zdawała się już być gotowa, przy dopasowywaniu drewnianego korka szyjka pękła i – tabaka powróciła na powrót do flaszki, a Wiktor nabrał przekonania, że jej przeznaczeniem było służyć mu do śmierci.

O tysiąc kroków poniżej tego źródła ukazał nam Mazurkiewicz wychylające się nad powierzchnię wody konary olbrzymich dębów zatopionych podług słów oryla „od potopu świata”. Jeden z tych dębów stanowi „rapę”, o którą rozbiła się niedawno ładowna zbożem wicina. Drzewa powyższe musiały być przez powódź podmyte na brzegach i obalone do Niemna przed jakim tysiącem lat, bo dębina szerniała już jak heban, na co potrzeba licznych wieków. Zawróciwszy się z Niemnem ku wschodowi, stanęliśmy pod Niemonajciami, gdzie to według podań bajecznych Litwy miał wylądować Nemon, wódz zamorskich żeglarzy, i wciąż boską od miejscowych Lettów otoczony, założył tu jakoby osadę powyższą.

## **Конец ознакомительного фрагмента.**

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.